

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Panie Blake, w recepcji siedzi panna Fairchild. Trzy razy dziś dzwoniła i w końcu przyszła. Mówiłam jej, że musi się umówić na spotkanie, ale powiedziała, że będzie czekać, dopóki jej pan nie wpuści.

Scott Blake niechętnie oderwał wzrok od okna, skąd roztaczał się widok na Zatokę San Francisco. Obrócił się w wielkim skórzanym fotelu i spojrzał na swoją sekretarkę Amelię Lambert. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że nie pochwała jego postępowania.

- To bardzo uparta kobieta, panie Blake. Sądzę, że naprawdę ma zamiar siedzieć tam, dopóki jej pan nie przyjmie.

Scott z westchnieniem rezygnacji sięgnął po list leżący na brzegu olbrzymiego dębowego biurka. Papier firmowy należał do Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom Maltretowanym, szanowanej instytucji charytatywnej, cenionej za efektywną działalność. U dołu widniał podpis Katherine Fairchild, dyrektora komitetu zbierającego fundusze.

- Dobrze, Amelio. - Scott rozluźnił krawat i szybkim ruchem odpiął górny guzik koszuli. Nie czuł się dobrze w stroju służbowym. Minęło pięć lat, odkąd przejął kontrolę nad Blake Construction, po przedwczesnej śmierci ojca na skutek zawału. Choć miał już trzydzieści cztery lata, wciąż nie przyzwyczyił się do garniturów i krawatów. Jako student Uniwersytetu Kalifornijskiego w czasie wakacji pracował na budowach prowadzonych przez firmę ojca. Uzyskał jednak dyplom z dziedziny ochrony środowiska a nie ekono-

mii i zamierzał pracować w swoim zawodzie. Przyrodą interesował się od dzieciństwa. Ojciec jednak namówił go do pozostania w rodzinnej firmie. Mimo że miał już wtedy tytuł wiceprezesa, Scott wolał pracować z robotnikami na świeżym powietrzu niż w dusznym biurze.

- Dlaczego po prostu nie poprosi o darowiznę? Z chęcią wypisałbym jej czek. Ale to... - Machnął listem i obrócił się w fotelu. - Skończmy z tym wreszcie. Wpuść pannę Fairchild, ale jeśli będzie tu siedzieć dłużej niż dziesięć minut, to mnie wywołaj. Aha, jeszcze jedno, Amelio. - Mrugnął porozumiewawczo, uśmiechając się złośliwie. - Zanim tu wejdzie, każ jej jeszcze poczekać z piętnaście minut.

Spojrzał znowu na list. Denerwował go nawet kobiecy charakter pisma Katherine. Nazwisko Fairchild należało do bardzo znanych. Już sześć pokoleń tej rodziny mieszkało w San Francisco. Fairchildowie zachowali rodowy majątek, należeli do śmietanki towarzyskiej, byli właścicielami najbardziej prestiżowych firm, protektorami sztuki, mieli wpływ na politykę i wspierali liczne przedsięwzięcia charytatywne. Każda gazeta przynosiła jakieś wiadomości o Katherine Fairchild, „Kat”, jak ją nazywali przyjaciele. Była jedyną i uwielbianą wnuczką patriarchy rodu, R.J. Fairchilda i najmłodszym czczworgadzieci Edwar-da Fairchilda. Jej matka zmarła, gdy dziewczynka miała dziesięć lat. Śmierć ta owiana była tajemnicą, wspomniano jednak o samobójstwie.

Kobiety takie jak Katherine irytowały Scotta. Znał je dobrze: rozkapryszone, płytkie, egocentryczne i próżne. A teraz jeszcze to - spojrzał na list. Aukcja kawalerów, której celem była zbiórka pieniędzy na działalność charytatywną. Katherine chciała, żeby ubrany w smoking stanął na podium naprzeciw publiczności i kamer, a napuszone elegantki będą licytować się o spędzenie z nim wieczoru. Nie podobało mu

się to ani trochę. Rozmyślania przerwał mu dźwięk intercomu. Wstał, szykując się na przyjęcie niemiłego gościa.

Zdjęcia Katherine nie odpowiadały prawdzie, w rzeczywistości była dużo piękniejsza. Delikatnie rzeźbione rysy - Scott cynicznie pomyślał, że są dziełem chirurga plastycznego - okalały czarne błyszczące włosy upięte z tyłu głowy. Turkusowe inteligentne oczy otoczone były najdłuższymi i najczarniejszymi rzęsami, jakie Scott kiedykolwiek widział. Całości dopełniał świetny makijaż i olśniewający uśmiech.

- Panna Fairchild? - Scott wyciągnął rękę. - Cieszę się, że się wreszcie spotkaliśmy. Jakoś do tej pory nie mieliśmy okazji... Co mogę dla pani zrobić?

Katherine uścisnęła mocno jego dłoń. Odezwała się głosem bardzo miękkim i kobiecym, choć o niskim brzmieniu. Kontrastowała z nim jednak treść jej słów.

- Pani, nie panna. Sądzę też, że nie spotkał się z innego powodu niż brak okazji; pan mnie unikał. Nie odpowiedział pan na mój list i nie zechciał porozmawiać ze mną przez telefon, chociaż dzwoniłam sześciokrotnie. Jedyne, co mi pozostało, to zjawić się tutaj bez zapowiedzi i zmusić pana do przyjęcia mnie.

Puścił jej rękę i zirytowany zacisnął zęby. A więc miał przed sobą jedną z tych zwariowanych feministek, które usiłują dowieść, że są jakimś lepszym rodzajem człowieka.

- Zechce pani usiąść, pani Fairchild? - Z rozkoszą spostrzegł, że zirytowało ją wymówione z naciskiem słowo „pani”.

Przyglądała mu się przez chwilę. Scott był wysoki, miał długie nogi i szerokie ramiona. Głęboki brąz opalenizny podkreślały jasne, niemal piaskowe włosy. Szare oczy patrzyły uważnie. Nie unikał jej spojrzenia, nie wyglądał też na zakłopotanego. Był niewątpliwie jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedy-

- Może tak być, jeśli zapłaci pan z własnej kieszeni. Jeśli pieniądze będą pochodziły z firmy, to nazwę „Blake Construction” uwzględnimy we wszystkich reklamach.

- Ach, więc tak to wygląda... A co się stanie, jeśli zgodzę się wziąć udział w aukcji, a później z jakiegoś powodu nie będę mógł - Scott uśmiechnął się drwiąco - albo nie będę chciał pójść na randkę?

- Dobre pytanie. Musi pan dostarczyć program randki i pieniądze, które pan na nią przeznaczył, zwyciężczyni, a ona zrobi z tym, co zechce.

- Czy są jakieś wytyczne, jeśli chodzi o program randki? - Scott czuł, że cała sprawa coraz bardziej go interesuje.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut. Scott dostał od Katherine broszurę zawierającą schemat struktury organizacyjnej stowarzyszenia, listę osób zaangażowanych w działalność charytatywną i dane na temat przeznaczenia zebranych pieniędzy.

Zainteresowanie Scotta wzbudziła poza tym sama Katherine Fairchild. Może i była rozkapryszoną, bogatą kobietą, która nie przepracowała dotąd ani jednego dnia, ale bogactwo i pozycja towarzyska nie rzutowały na poświęcenie i zaangażowanie w działalność na rzecz maltretowanych dzieci. Choć z niechęcią, Scott musiał jednak przyznać, że jej postawa budzi respekt. Może zresztą nie tylko to w niej podziwiał. Przede wszystkim, miała wspaniałe nogi.

- Muszę się zastanowić. Zadzwoń do pani za kilka dni.

- Mam nadzieję, że przyjmie pan zaproszenie. - Katherine wstała, wyciągając ku niemu rękę. - Jestem pewna, że to będzie ciekawe... Może nawet dobrze się pan będzie bawił.

Scott upuścił ołówek na biurko i podszedł do niej pospiesznie. Uścisk ręki Katherine był mocny, oficjal-

ny, ale równocześnie ciepły i kobiecy. Pachniała przyjemnie, chociaż nie rozpoznawał tego kuszącego zapachu. Prawdopodobnie były to robione na zamówienie perfumy, dostosowane do naturalnego zapachu jej ciała, jeszcze jeden kaprys bogaczy. Patrzył na nią, gdy szła w stronę drzwi.

- Amelio - Scott oparł się o framugę - co myślisz o pani Fairchild?

- Interesująca kobieta. Stanowcza, ale sympatyczna.

Scott niezwykle cenił obiektywizm Amelii. Pracowała dla jego ojca przez dwadzieścia dwa lata, a po jego śmierci Scott nalegał, aby została. Amelia niewątpliwie wiedziała o firmie więcej niż ktokolwiek inny. Miała fenomenalną pamięć, a poza tym Scott odnosił się z wielkim szacunkiem do wygłaszanych przez nią opinii.

- Byłam zdziwiona, że przez ten kwadrans siedziała tak spokojnie - ciągnęła Amelia. - Nie poprosiła mnie o kawę, nie kręciła się, nie zadawała pytań na pana temat, po prostu czekała.

- Naprawdę? To dziwne. Można by pomyśleć, że tacy ludzie jak Fairchildowie nie potrafią czekać. - Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś. - Co myślisz o tej aukcji kawalerów? Najpierw byłem temu absolutnie przeciwny, miałem wrażenie, że grupka bogatych kobiet, znudzonych klubowymi herbatkami, chce się zabawić. Ale teraz sam już nie wiem... Kat, to znaczy pani Fairchild, wyjaśniła mi, na co idą pieniądze. - Nie mógł powstrzymać uśmiechu na wspomnienie jej nóg, a później w wyobraźni ujrzał jej turkusowe oczy. - Obiecałem, że dam odpowiedź za parę dni.

- Myślę, że powinien się pan zgodzić, panie Blake. Cel jest tego wart. Poza tym, może się pan dobrze bawić.

- Amelio, ile razy prosiłem, żebyś zwracała się do mnie po imieniu? Pan Blake, to był mój ojciec. - Scott westchnął. I tak wiedział, że Amelia zignoruje jego prośbę.

Katherine otworzyła drzwi i siadła za kierownicą swego mercedesa. Próbowwała uporządkować myśli na temat Scotta. Był arogancki i nie krył swych uprzedzeń w stosunku do niej. Oczywiście uważał ją za bogatą paniusią, która bawi się w akcje dobroczynne, bo nie ma nic innego do roboty. Ale ze spotkania odniosła też inne wrażenie; Scott był niewątpliwie atrakcyjny i pociągający.

Wiele razy zetknęła się już z podobnymi uprzedzeniami. Kiedyś denerwowało ją, że ludzie nie znają jej, mają o niej wyrobioną opinię, ale przywykła do tego i w wieku dwudziestu dziewięciu lat zaakceptowała już swoją pozycję w społeczeństwie. Zaśmiała się na myśl, że po trzydzieście może się to okazać trudniejsze. Spochmumiała nagle na wspomnienie pewnego wydarzenia, ale szybko odsunęła od siebie niepokojące myśli.

Nie zawsze było tak jak obecnie. Dawniej ciągnęła świadomość, że wszyscy ją obserwują, burzyła poczucie bezpieczeństwa. Inne dzieci albo nie lubiły jej, bo miała bogatych i wpływowych rodziców i ostentacyjnie to okazywały, albo próbowały ją wykorzystać, udając przyjaźń. W rezultacie Katherine była bardzo samotna i nieśmiała. Ale wszystkie te przykrości stawały się nieistotne wobec tego, co uczyniła jej matka. Mimo że upłynęło już dwadzieścia lat, Katherine wciąż jeszcze nie do końca uporała się z przeszłością.

Porzuciła złe myśli, jadąc w dół ulicy Kalifornijskiej. Miała spotkanie w Hyatt Regency w Embar-

cadero Center. Sądziła, że zdąży przedtem coś zjeść, ale Scott kazał jej czekać i teraz już nie miała czasu. Pomyślała nagle, że zrobił to umyślnie. Zostawiła samochód chłopcu parkingowemu i szybkim krokiem ruszyła do budynku, na drugie piętro.

- Przepraszam za spóźnienie. - Katherine położyła teczkę na stole w sali konferencyjnej i miłym uśmiechem objęła wszystkich zgromadzonych, po czym zajęła miejsce u szczytu stołu. - Czy możemy przejść do spraw konkretnych?

Elizabeth Torrance, dyrektor stowarzyszenia, rzekła z uśmiechem:

- Nie martw się. Jim przyszedł tuż przed tobą.

Jim Dalton zaśmiał się i dorzucił dobrodusznie:

- Bez względu na to, czego chcesz, masz mój głos, Katherine. Dzięki tobie dziś nikt mnie nie nazwie spóźnialskim.

- Jim, twoja korporacja dostarcza nam tyle pieniędzy i pomocy w ciągu całego roku, że możesz się spóźniać, ile tylko chcesz. - Uśmiechnęła się do niego. - A jeśli w przyszłym roku podwoisz swój wkład, będziesz mógł się spóźniać dwa razy częściej.

- Lepiej zrezygnuj, póki masz przewagę, Jim. Wiesz, że z Katherine nie wygrasz, gdy w grę wchodzi pieniądze na cele charytatywne. I tak je od ciebie wydobędzie - doradziła Liz. Miała niecałe pięćdziesiąt lat i dokonywała cudów, aby zdobyć pieniądze potrzebne do sprawnego funkcjonowania stowarzyszenia.

- Rozmawiałam właśnie z naszym ostatnim opornym kawalerem, Scottem Blakiem z Blake Construction. - Katherine objęła prowadzenie narady. - Ignorował do tej pory wszelkie próby skontaktowania się z nim. Przedstawiłam mu działanie naszej organizacji i sądzę, że pomysł mu się spodobał.

Liz wyjaśniła zebranym, dlaczego tak ważny był udział Scotta Blake'a w aukcji.

- Bardzo chciałam go pozyskać. Dużo dobrego o nim mówiono po trzęsieniu ziemi w październiku 1989 roku. Już następnego dnia po katastrofie jego ekipa badała szkody i przygotowywała plan ich likwidacji. Podobno za darmo kazał naprawić uszkodzone mieszkania starszym ludziom o niewielkich dochodach, nie ubezpieczonym od trzęsienia ziemi. Któregoś dnia, gdy na budowie dziennikarze zdołali wreszcie do niego dotrzeć i zapytali, czy to prawda, Blake schwycił kask, wskoczył na drabinę i zniknął wśród robotników. Inni potrafią tylko dużo mówić, on działa.

Zapach perfum unosił się w gabinecie jeszcze długo po wyjściu Katherine. Scott żywił mieszane uczucia w stosunku do Kat Fairchild. Rozmyślał o swoich wcześniejszych uprzedzeniach i o kobiecie, którą dziś spotkał. Niejasno czuł, że przedwczesne oceny nie były wiele warte. Wydarł z notesu kartkę i zaczął ją miać. Nie wyrzucił jej jednak, lecz schował portret Katherine do szuflady. Właściwie nie wiedział, dlaczego to robi.

Szybko zgarnął trzy pliki akt i wsunął do teczki. Miał spotkanie i już był spóźniony. Gdyby nie kazał Katherine czekać przez kwadrans, mógłby teraz zjeść lunch.

Celem spotkania z Colgrave Corporation było omówienie szczegółów budowy centrum handlowego w San Rafael. Blake Construction wybudowało już cztery centra handlowe dla Colgrave, a to miało być piąte przedsięwzięcie. Oba przedsiębiorstwa łączyły znakomite stosunki, których podstawą był szacunek i zaufanie. Colgrave wymagało jakości bez względu na koszt, a taki styl pracy stanowił również dewizę Scotta.

- Mam nadzieję, że nie czekałeś długo, Brian.  
- Scott wyciągnął rękę do Briana Colgrave'a. - W po-

łowiej drogi do twego biura przypomniałem sobie, że dziś umówiliśmy się w Hyatt.

- Nic się nie stało. Przez całe przedpołudnie uczestniczyłem w seminarium, więc prościej już było tu zostać, skoro i tak zapłaciłem za salę konferencyjną. Napijesz się czegoś? Mamy kawę, herbatę i zimne napoje.

- Nie, dziękuję. - Scott wyjął plany z teczki.

Obaj pochylili się nad projektami budowy. Pół godziny później dołączył do nich George Weddington, twórca projektu, a po dwóch godzinach panowie rozstali się. Scott pożegnał się i ruszył spieszenie ku drzwiom.

- Proszę zaczekać! - krzyknął, widząc zamykające się drzwi windy. Ktoś w środku musiał przycisnąć guzik, bo kiedy dobiegł, winda czekała.

- Dziękuję bardzo! - Znajomy zapach uderzył go w nozdrza, gdy wpadł do środka. Para turkusowych oczu ocienionych długimi czarnymi rzęsami błysnęła przed nim, a jego wzrok napotkał promienny uśmiech.

- Drobiazg. - Katherine Fairchild nacisnęła guzik i drzwi zamknęły się. - Które piętro?

- Parter. - Powoli wędrował wzrokiem od jej starannie ułożonej fryzury aż do wysokich obcasów. Była wyższa, niż początkowo sądził, bez obcasów i wysokiego uczesania musiała mieć prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Była tak samo spokojna i opanowana, jak w jego biurze.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Doprawdy, pani Fairchild, obiecałem, że zadzwonię za parę dni. Nie musiała mnie pani śledzić.

Jakiś błysk pojawił się w jej oczach, gdy odpowiedziała mu figlarnym uśmiechem. Scott nie bardzo wiedział, co to miało znaczyć. Winda stanęła i drzwi się otworzyły.

- Jesteśmy. Parter - oznajmiła.

- Bardzo chciałam go pozyskać. Dużo dobrego o nim mówiono po trzęsieniu ziemi w październiku 1989 roku. Już następnego dnia po katastrofie jego ekipa badała szkody i przygotowywała plan ich likwidacji. Podobno za darmo kazał naprawić uszkodzone mieszkania starszym ludziom o niewielkich dochodach, nie ubezpieczonym od trzęsienia ziemi. Któregoś dnia, gdy na budowie dziennikarze zdołali wreszcie do niego dotrzeć i zapytali, czy to prawda, Blake schwycił kask, wskoczył na drabinę i zniknął wśród robotników. Inni potrafili tylko dużo mówić, on działa.

Zapach perfum unosił się w gabinecie jeszcze długo po wyjściu Katherine. Scott żywił mieszane uczucia w stosunku do Kat Fairchild. Rozmyślał o swoich wcześniejszych uprzedzeniach i o kobiecie, którą dziś spotkał. Niejasno czuł, że przedwczesne oceny nie były wiele warte. Wydarł z notesu kartkę i zaczął ją miąć. Nie wyrzucił jej jednak, lecz schował portret Katherine do szuflady. Właściwie nie wiedział, dlaczego to robi.

Szybko zgarnął trzy pliki akt i wsunął do teczki. Miał spotkanie i już był spóźniony. Gdyby nie kazał Katherine czekać przez kwadrans, mógłby teraz zjeść lunch.

Celem spotkania z Colgrave Corporation było omówienie szczegółów budowy centrum handlowego w San Rafael. Blake Construction wybudowało już cztery centra handlowe dla Colgrave, a to miało być piąte przedsięwzięcie. Oba przedsiębiorstwa łączyły znakomite stosunki, których podstawą był szacunek i zaufanie. Colgrave wymagało jakości bez względu na koszt, a taki styl pracy stanowił również dewizę Scotta.

- Mam nadzieję, że nie czekałeś długo, Brian.  
- Scott wyciągnął rękę do Briana Colgrave'a. - W po-

łowie drogi do twego biura przypomniałem sobie, że dziś umówiliśmy się w Hyatt.

- Nic się nie stało. Przez całe przedpołudnie uczestniczyłem w seminarium, więc prościej już było tu zostać, skoro i tak zapłaciłem za salę konferencyjną. Napijesz się czegoś? Mamy kawę, herbatę i zimne napoje.

- Nie, dziękuję. - Scott wyjął plany z teczki.

Obaj pochylili się nad projektami budowy. Pół godziny później dołączył do nich George Weddington, twórca projektu, a po dwóch godzinach pamowie rozstali się. Scott pożegnał się i ruszył spieszenie ku drzwiom.

- Proszę zaczekać! - krzyknął, widząc zamykające się drzwi windy. Ktoś w środku musiał przycisnąć guzik, bo kiedy dobiegł, winda czekała.

- Dziękuję bardzo! - Znajomy zapach uderzył go w nozdrza, gdy wpadł do środka. Para turkusowych oczu ocienionych długimi czarnymi rzęsami błysnęła przed nim, a jego wzrok napotkał promienny uśmiech.

- Drobiazg. - Katherine Fairchild nacisnęła guzik i drzwi zamknęły się. - Które piętro?

- Parter. - Powoli wędrował wzrokiem od jej starannie ułożonej fryzury aż do wysokich obcasów. Była wyższa, niż początkowo sądził, bez obcasów i wysokiego uczesania musiała mieć prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Była tak samo spokojna i opanowana, jak w jego biurze.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Doprawdy, pani Fairchild, obiecałem, że zadzwonię za parę dni. Nie musiała mnie pani śledzić.

Jakiś błysk pojawił się w jej oczach, gdy odpowiedziała mu figlarnym uśmiechem. Scott nie bardzo wiedział, co to miało znaczyć. Winda stanęła i drzwi się otworzyły.

- Jesteśmy. Parter - oznajmiła.

Obserwował ją od tyłu, gdy szła w stronę budki parkingowej. Nie miał wątpliwości: miała wspaniałe nogi i płynny chód, na który trudno byłoby nie zwrócić uwagi.. Poszedł za nią szybkim krokiem.

Znienacka obróciła się w jego stronę. W jej głosie wyczuł nutkę wahania.

- Czy ma pan plany na najbliższych kilka godzin?

Scott chciał zachować obojętność, ale na twarz z wolna zaczął mu wypływać uśmiech.

- O co chodzi, pani Fairchild? O czym pani myśli? Czy planuje pani randkę przed randką w celu omówienia szczegółów?

I znowu niewzruszona Katherine Fairchild zachowała spokój, głucha na jego drwiny.

- A gdzie pana zamiłowanie do przygód? Nigdy się pan nie dowie, czego od pana chcę, dopóki nie wsiądzie pan do samochodu i nie pojedzie za mną. - Siedząc już za kierownicą, opuściła szybę i obrzuciła Scotta zimnym spojrzeniem. - No i jak? Wchodzi pan do gry?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Scott właściwie nie przypominał sobie, żeby zgodził się na tę wyprawę, ale teraz jechał za mercedesem Katherine. Nie miał pojęcia, dokąd porywa go Kat Fairchild ani dlaczego to robi.

Samochód Katherine zatrzymał się naprzeciw starego budynku w biednej dzielnicy Oakland. Był to jedyny dom nie zeszecony napisami na murach. Scott zatrzymał się tuż za nią i wyłączył silnik. Kilku chłopców, wyglądających na chuliganów, wychyliło się zza węglów sąsiednich budynków, obserwując uważnie jego i samochód. Scott wysiadł pomału i podszedł do mercedesa od strony kierowcy. Oparł się o drzwi, nerwowo przenosząc wzrok z jednej wrogiej sylwetki na drugą.

- Jesteś pewna, że właśnie tu chciałaś przyjechać?

- Dokładnie tu. - Katherine wysiadła z samochodu, najwyraźniej bez obawy. Rozejrzała się dookoła, w końcu jej wzrok zatrzymał się na młodym człowieku, stojącym pośrodku ulicy.

- Billy, to Scott Blake, mój przyjaciel - powiedziała głośno i wyraźnie, kładąc równocześnie rękę na ramieniu Blake'a.

Scott podążył za jej wzrokiem. Chłopiec, nazwany Billym, niespiesznie ruszył w ich kierunku. W rękę trzymał nóż sprężynowy. Zachowując wciąż bezną odległość, spoglądał uważnie na Scotta. W końcu uśmiechnął się.

- Jak się masz, staruszku. Przyjaciele Kat nie muszą się tu niczego obawiać.

Scott rzucił Katherine pytające spojrzenie, ale usłyszał tylko szept: „Nie teraz”. Weszli razem do budynku.

W środku było czysto i schludnie, mimo że meble nie należały do najnowszych. Przy biurku siedziała atrakcyjna brunetka wyglądająca na niecałe trzydzieści lat. Podniosła głowę słysząc, że ktoś wchodzi.

- Kat! Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj. - Na jej twarzy ukazał się wyraz ulgi. - Cieszę się, że przyszłaś.

- Coś się stało? - Katherine, zaniepokojona, rozjrzała się po pokoju.

- Jenny...

- Jenny? - Scott spostrzegł, że oczy jej się powiększyły i zaczęła drżeć. - Co się stało?

- Uspokój się. Jest tutaj, cała i zdrowa. Po prostu przez cały dzień pytała o ciebie i wszędzie cię szukała. - Brunetka uśmiechnęła się. - Wiesz, jak bardzo jest do ciebie przywiązana.

Katherine natychmiast się uspokoiła.

- Cheryl, pozwól, to Scott Blake - dokonała prezentacji. - Scott, to Cheryl Johnson. Cheryl prowadzi nasz ośrodek w Oakland.

- Miło cię poznać, Cheryl - Scott wyciągnął ku niej rękę.

- Ja też się cieszę. - Ucisnęła mu dłoń, uśmiechając się ciepło. Wskazała stertę papierów leżących na biurku. - Proszę mi wybaczyć, ale mam kupę roboty. Lepiej zabiorę się do pracy, zanim szefowa stwierdzi, że się obijam. - Spojrzała na Katherine śmiejąc się.

- Już wkrótce będziesz miała kogoś do pomocy. Na naradzie ustaliliśmy, jak podzielić pieniądze. Teraz trzeba tylko znaleźć odpowiednią osobę. Niestety, lokalizacja nie jest najlepsza, mało kto ma ochotę tu pracować.

-W tej chwili dał się słyszeć dziecięcy okrzyk: „Kat! Kat!”, a po podłodze zadudniły nóżki małej, może

trzyletniej złotowłosej dziewczynki. Katherine zdjęła pantofle, przyklekła i otworzyła ramiona.

^Jenny, mój skarbie! -W jej głosie brzmiała szczerza radość. Podniosła małą i kołysząc, przyciskała mocno do siebie. - Byłaś dziś grzeczna? - spytała całując ją równocześnie w policzek.

- Tak, Kat.

Mała przytuliła się do niej, zaciskając rączkę na jedwabnej bluzce i szarpiąc ją w podnieceniu. Ostatnie szarpnięcie okazało się za mocne dla nitki, na której trzymał się górny guzik. Nitka pękła, guzik odpadł i bluzka rozchyliła się. Katherine najwyraźniej nie zauważyła tego, co się stało, w przeciwieństwie do Scotta, który nie mógł oderwać wzroku od delikatnego ciała, wynurzającego się zza koronkowego stanika. Katherine wstała, trzymając małą w ramionach. Odwróciła się tak, że obie miały Scotta przed sobą.

- Jenny, to Scott, mój przyjaciel. Czy możesz mu powiedzieć „dzień dobry”?

- Cześć, Jenny. - Scott uśmiechnął się do dziewczynki.

Dziecko jednak odchyliło się jak najdalej od niego, zacisnęło ręce wokół szyi Katherine i odwróciło głowę, chowając twarz w fałdach jej bluzki. W oczach Scotta odmalowało się zdumienie i niepewność. Katherine nie przestawała kołysać dziewczynki w ramionach. Jej głos był kojący i miękki.

- Wszystko dobrze, Jenny. Scott jest moim przyjacielem. Nie skrzywdzi cię. - Dziewczynka jednak nie odrywała główki od jej ramienia. - Powiedz mu „dzień dobry”, dobrze? Na pewno chciałby zobaczyć, jak się uśmiechasz.

Złote loki dziewczynki zatrzęsły się, gdy przecząco pokręciła głową, nie odrywając twarzy od ramienia Katherine.

- Proszę, Jenny, powiedz Scottowi „dzień dobry”... dla mnie.



Jenny powoli uniosła głowę i ostrożnie spojrzała na mężczyznę stojącego obok Katherine. Scott uśmiechnął się i wyciągnął ku niej rękę.

W tej chwili z oczu dziecka trysnęły łzy. Scott, przerażony, cofnął rękę i zrobił krok w tył. Katherine tuliła do siebie dziewczynkę, która znów ukryła buzię w fałdach jej bluzki. Scott patrzył, jak Katherine wynosi małą z pokoju. Odwrócił się w stronę Cheryl i usiadł na brzegu jej biurka.

- Co się stało? Dlaczego ona zaczęła płakać?

- To bardzo smutna historia. - W głosie Cheryl brzmiało współczucie. - Dziewczynka nazywa się Jenny Hillerman. Była bita przez faceta, z którym ostatnio związała się jej matka. A ta nie protestowała. - Cheryl nie kryła oburzenia. - Nie chciała stracić tego pieprzonego sukinsyna. - Zauważyła, że Scott jest oszołomiony jej słownictwem. - To jest ulica, Scott. I tak ze względu na ciebie pohamowałam się. Tu nie ma miejsca na kurtuazję ani piękne słówka.

- Skąd Jenny się u was wzięła?

- Billy znalazł ją któregoś ranka. Siedziała na progu swego domu zmarznięta i posiniaczona. Billy szybko się zorientował, że matka Jenny zmyła się gdzieś z narzeczonym, a dziecko zostało samo. Przyniósł ją tutaj. Mała wciąż jeszcze boi się mężczyzn, chociaż pomału zaczyna się oswajać. Na szczęście jej matka była z tym facetem dopiero od kilku miesięcy, więc cała historia trwała na tyle krótko, że Jenny powinna z tego wyjść bez większych urazów.

Cheryl wzbudziła sympatię Scotta; lubiła swoją pracę i sprawiała wrażenie całkowicie jej oddanej, podobnie jak Katherine.

- Czym się zajmujesz?

- Och, robię wszystko. Jestem recepcjonistką, pomocywką i dyplomowanym psychologiem. To był pomysł Kat, żeby zatrudnić raczej psychologa niż

socjologa czy specjalistę od zarządzania. Dzieciom staramy się ofiarować coś więcej niż doraźną pomoc, dopóki nie wrócą do domów albo nie znajdą rodziny zastępczej. Te najmłodsze, które nie były zbyt długo maltretowane, mają szansę wyjść z tego bez poważniejszych urazów psychicznych. W przypadku Jenny istotne jest to, że nie była jej matka, a poza tym cała historia nie trwała długo. Dzieci powinny zrozumieć, że ktoś się o nie troszczy, muszą wiedzieć, że nie są pozostawione same sobie i że to, co się stało, nie jest ich winą. - Cheryl zerknęła w stronę drzwi, za którymi zniknęły Katherine i Jenny. - Z Jenny wszystko będzie dobrze. Nie mogłaby znaleźć nikogo lepszego do opieki niż Kat.

Pewna myśl przemknęła przez głowę Scotta, coś, co nigdy nie miałoby miejsca, gdyby nie trafił do ośrodka.

- Kat wspomniała, że potrzebny jest ci ktoś do pomocy. O jaką pracę chodzi?

- Przyjąłabym do pomocy jakąkolwiek osobę. Ale przydałby się ktoś zorganizowany, radzący sobie z papierkową robotą, umiejący pracować z ludźmi i odporny na stres i pośpiech. Za każdym razem, gdy mamy do czynienia z jakimś urzędem, pojawia się natychmiast podwójna ilość formularzy do wypełnienia. Przydałby mi się zastępca do spraw administracyjnych. To szalenie wyszukana nazwa, a w gruncie rzeczy trzeba by zajmować się wszystkim po trochu i tylko ja mogłabym ten trud docenić. Chciałabym znaleźć kogoś, kto odciążałby mnie w tej pracy. - Wskazała na stosy dokumentów zalegające biurko. - Miałabym wtedy więcej czasu dla dzieci. - Podniosła głowę i spojrzała pytająco na Scotta. - A co? Przyszedł ci ktoś na myśl?

- Może. - Uśmiechnął się i mrugnął do niej.

- No, myślę, że już wszystko w porządku. - Głos Katherine rozległ się od strony drzwi. - Jenny zasnęła. Przepraszam cię za ten incydent - zwróciła się do

Scotta. - Jenny jest wciąż nieufna w stosunku do obcych. Myślałam, że cię zaakceptuje, ponieważ przyszedliśmy razem. Ale to zajmie więcej czasu... - dodała ciszej. Po chwili jednak twarz jej się rozjaśniła. - Chodź, oprowadzę cię. - Schwyciła Scotta za rękę i pociągnęła za sobą. - Chcę, żebyś zorientował się, na czym polega nasza praca.

Nawet, gdy już puściła jego rękę, ciągle czuł ciepło jej dotyku. Przez pół godziny oprowadzała go po budynku, tłumacząc, jak funkcjonuje ta szczególna placówka, niosąca pomoc nieszczęśliwym istotom. W ośrodku mogło przebywać jedynie dziesięcioro dzieci. Miały tu znaleźć tylko chwilowe schronienie, niektóre jednak mieszkały przez wiele miesięcy, zanim podjęto decyzję co do ich dalszych losów. Poza Cheryl pracowało tu sześć osób.

- Co Billy ma z tym wszystkim wspólnego? Cheryl mówiła, że to on przyprowadził Jenny.

- Billy Sanchez jest naszym sąsiadem. Rządzi ulicą. Pierwszy raz spotkałam go cztery lata temu. Ośrodek działał wówczas zaledwie od trzech miesięcy i podobnie jak cała okolica, narażony był na ciągłe zniszczenia. Dzieci ulicy niczego nie oszczędzają. Któregoś dnia taki właśnie zbuntowany trzynastolatek wpadł tu, ciągnąc za sobą przerażoną ośmioletnią dziewczynkę. Spojrzał na mnie, ruchem głowy wskazał na ulicę i zapytał, czy to cacko na kółkach tam na zewnątrz należy do mnie. Powiedziałam że tak. Kpiącym głosem chłopak stwierdził, że jestem głupią gęsią, po czym ruszył w stronę drzwi. Dziewczynka, którą ciągnął za sobą, wyglądała na tak przerażoną, że nie mogłam pozwolić im odejść. Schwyciłam go za ramię i zatrzymałam.

- Wydaje mi się, pani Fairchild, że popełniła pani głupstwo.

- Też doszłam do takiego wniosku, gdy obrócił się

i mnie zwymyślał, nie przebijając w słowach. Wyszarpnął się i wrzasnął, żebym nigdy więcej nie ważyła się go dotknąć. Po tym wybuchu zmiażdżył i zaczął normalnie mówić. Dziewczynka była jego siostrą. Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z koszmarem, jakim jest codzienne życie ludzi, którym staramy się pomóc. Do tamtej chwili zajmowałam się jedynie gromadzeniem funduszy, chodziłam na zebrania, organizowałam aukcje - przerwała i spojrzała na Scotta - robiłam dokładnie to, co, jak sądziłeś, stanowi moje jedyne zajęcie. - Katherine zauważyła, że się zmieszał. - Wiesz, Scott, ja muszę bez przerwy prowadzić walkę o zmianę przedwczesnych opinii, które ludzie wyrabiają sobie na mój temat. Tak to już jest, że najchętniej wierzymy w to, co najgorsze.

Scott czuł zakłopotanie. Chciał coś powiedzieć na swoją obronę, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Katherine nie dała mu żadnych szans. Uchwycił nagle jakiś przebłysk bólu w jej spojrzeniu.

- Ojciec Billy'ego opuścił rodzinę po narodzinach córki - ciągnęła. - Jego matka związała się z handlarzem narkotyków i szybko sama się uzależniła, a ten facet popchnął ją do prostytucji. Była od niego całkowicie zależna. Billy porzucił szkołę w siódmej klasie i spędzał czas na ulicy, chwytając się najrozmaitszych zajęć, a także kradnąc, jeżeli to było konieczne. Chciał się opiekować siostrą, matkę traktował jak powietrze. Któregoś dnia wrócił do domu i zastał ją kompletnie nieprzytomną, a jej facet próbował zgwałcić mu siostrę.

- Mój Boże... - Scott cofnął się, przerażony.

- Billy raczej działa, niż mówi, toteż chwycił pierwszą rzecz, jaka mu wpadła w ręce, walnął faceta w głowę, złapał siostrę i uciekł. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Sam zawsze sypiał na ulicy, ale jego siostra potrzebowała bezpiecznego schronienia. Nigdy nie

zwróciłyby się do władz, ale w końcu zebrał całą odwagę i przyszedł do nas. Daliśmy małej gorący posiłek, czyste ubranie i ciepłe łóżko. Następnego dnia Billy przyszedł sprawdzić, jak siostra się miewa. Stwierdził, że wszystko jest w porządku i od tego czasu nie mamy żadnych kłopotów. Koledzy Billy'ego pilnują ośrodka i dokładnie lustrują nieznanym, którzy się tu zjawiają.

- Miałem okazję to zauważyć.

- Dlatego od razu powiedziałam im, kim jesteś. W przeciwnym wypadku prawdopodobnie nie miałybyś czym odjechać po wyjściu stąd.

- Dzięki za *pomoc*. - *Scott* uśmiechnął się. - Doceniam to, moje towarzystwo ubezpieczeniowe zresztą też. - Po chwili jednak spoważniał. - Co się stało z siostrą Billy'ego?

- Znaleźliśmy dla niej rodzinę zastępczą. Najpierw sąd nie chciał się zgodzić. Mała miała matkę i powinna była wrócić do domu. - W oczach Katherine zapaliły się iskiarki gniewu. - Nikogo nie obchodziło, że dziecko wróci do domu, w którym nie będzie bezpieczne. Problem sam się rozwiązał szybko, ale tragicznie: miesiąc później jej matka zmarła z przedawkowania. Ponieważ dziewczynka nie miała żadnej rodziny poza bratem, załatwienie sprawy stało się już tylko formalnością.

- Muszę przyznać, pani Fairchild...

- Czy mógłbyś przestać tak do mnie mówić? Myślę, że ten etap mamy już za sobą.

Jej uśmiech obezwładnił go, w turkusowych oczach znów spostrzegł figlarnie błyski. Wytrzymał to spojrzenie, czując równocześnie przyspieszone bicie serca.

- Tak, myślę, że masz rację.

Scott jechał z powrotem przez Oakland Bay Bridge. Jego myśli pochłonięte były zdarzeniami z ostatnich dwóch godzin. To, co widział, otworzyło mu oczy. Skoro Katherine Fairchild uważała, że jego udział w aukcji kawalerów mógł pomóc sprawie, odmowa z jego strony byłaby czymś małostkowym. Nawet jeśli miało to być dla niego kłopotliwe, nie mógł odmówić. Postanowił zadzwonić do Katherine z samego rana.

Zdecydował się nie wracać już do biura i jechał dalej w stronę Tiburon. Okrążając zatokę, dostał się na krętą drogę prowadzącą na szczyt wzgórza, gdzie wznosił się stary dom. Rozpościerał się stąd widok na Angel Island, Alcatraz i wieże Golden Gate. Scott kochał to miejsce. Był zadowolony, że matka zatrzymała dom po śmierci ojca. Początkowo bała się ciężaru wspomnień, ale doszła do wniosku, że pełne są przede wszystkim miłości i ciepła - i dom pozostał.

- Mamo?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, przeszedł przez dom i dotarł na podwórze. Przez szklane drzwi ujrzał Lynn Blake pracującą w ogrodzie. Patrzył na matkę; wyglądała bardzo młodo jak na swe pięćdziesiąt sześć lat i tryskała energią.

- Wiesz, mamoo...

Lynn Blake zdumiona podniosła głowę.

- Scott! Co za niespodzianka!

- Naprawdę, masz w sobie zbyt wiele życia, żeby tracić czas i energię tylko na pracę w ogrodzie. Nie miałybyś ochoty zająć się czymś bardziej pożytecznym?

- Och, w co ty mnie usiłujesz wciągnąć? Wiesz, jak kocham ten ogród. - Patrzyła na niego podejrzliwie.

- Może byśmy poszli na kolację? - Scott uśmiechnął się czarująco. - Dawno nigdzie razem nie byliśmy.

- Rozumiem. „Witaj w mojej sieci”, powiedział pajak do muchy. - Lynn Blake uśmiechnęła się do

syna, zbierając rzeczy i kierując się w stronę domu.  
- Za kilka minut będę gotowa i z radością wysłucham kolejnego z twych wspaniałych planów.

- Ten cię naprawdę zainteresuje, dotyczy bowiem czegoś, czym powinnaś się zająć - odpowiedział z zapalem.

Scott spacerował po salonie, czekając na matkę. Ostrożnie brał do ręki fotografie w ramkach, przyglądał im się i odkładał na miejsce. Ożyły w jego pamięci wspomnienia związane z tym domem. Ojciec, chociaż zaabsorbowany tworzeniem firmy, zawsze miał czas, by wyjść z synem na podwórze i zagrać w piłkę, matka nigdy nie była tak zajęta, aby odmówić mu przeczytania bajki na dobranoc, chociaż w dzień pracowała w szkole, a wieczorami troszczyła się o dom i rodzinę.

Wrócił myślą do górskich wycieczek, które zaszczyliły w nim miłość do natury. Ojciec uczył go rozpoznawać rośliny i ptaki, rozróżniać formacje geologiczne i poruszać się tak, by nie niszczyć dzieł przyrody. Myślał o wspólnych wyjazdach na weekendy. Zawsze widzieli coś nowego, zoo, czy muzeum, coś, co rozbudzało jego ciekawość i wyobraźnię.

Poczuł nagłe ukłucie w sercu, gdy pomyślał o dzieciństwie Billy'ego, jego siostry i małej Jenny Hillermann. Czuł wstyd, że nie odpowiadał na listy i telefony Katherine nie wiedząc nawet, dlaczego chce się z nim skontaktować.

- Jestem gotowa. - Lynn Blake przerwała te rozważania. Uśmiechnęła się do syna. - Domyślam się, że nie zechcesz zdradzić mi swych planów przed kolacją, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Otworzył drzwi, przepuszczając ją i próbując ukryć uśmiech.

Katherine Fairchild wjechała w długą aleję prowadzącą do ogromnego domu w Saint Francis Woods,

najbardziej ekskluzywnej części San Francisco. Kilka tygodni już minęło, odkąd odwiedziła dziadka. Od prawie pięciu lat był przykuty do fotela na kółkach i miał coraz więcej kłopotów ze zdrowiem. Katherine zazwyczaj odwiedzała go znacznie częściej, ale zbliżająca się aukcja i kampania reklamowa pochłaniały ją ostatnio niemal całkowicie.

- Jak się czujesz, dziadziu? - Katherine gorąco ucałowała starca, przyklekając koło wózka. - Dobrze wyglądasz.

R.J. Fairchild surowo spojrział na wnuczkę.

- Katherine, ile razy ci mówiłem, że „dziadzio” to nie jest właściwe słowo. Nie powinnaś tak się do mnie zwracać.

Katherine niezbyt się przejmowała jego burkliwym tonem. Umiejętność owijania sobie groźnego pana Fairchilda wokół palca posiadała już we wczesnym dzieciństwie. Uśmiechnęła się i ponownie pocałowała go w policzek. Położył sękatą dłoń na jej ręce i spojrział na nią z miłością.

- Nie waż się nazywać mnie tak przy kimkolwiek. Jak mam zachować autorytet, jeśli moja rodzona wnuczka...

- Nie bądź takim napuszonym zarozumiałcem. Możesz swoje przemowy zachować dla innych, ale teraz sobie daruj. Przecież lubisz, jak nazywam cię „dziadziem”. - Katherine wstała i pchnęła wózek w stronę werandy. - Spotkałam dziś bardzo interesującego człowieka, dziadziu.

Starszy pan natychmiast stał się czujny.

- Naprawdę? Czy to oznacza, że przed śmiercią usłyszę jeszcze w tym domu tupot nóżek mojego prawnuka?

- Nie bądź taki patetyczny. Będiesz żył jeszcze wiele lat. Ponadto nie zapominaj, że masz już całą masę prawnuków. Załóż się, że nawet nie pamiętasz, jak się wszyscy nazywają.

- To nie to samo, Katherine. Jesteś jedyną dziewczyną w rodzinie. Nie mam córek, a ty jesteś moją jedyną wnuczką. Powinnaś dać mi prawnuki.

- Doprawdy, dziadziu, żyjemy już prawie w dwudziestym pierwszym wieku, spróbuj iść z duchem czasu. Zajęciem kobiet nie jest już tylko sprzątanie domu i rodzenie dzieci.

Katherine nalała wina do kieliszków i usiadła obok dziadka. Wszyscy uważali, że jest wybuchowy i apodyktyczny i nikt nie odważyłby się zwracać do niego tak jak Katherine. Gorąco kochała starego człowieka, a on nie widział poza nią świata.

- Jestem za stary, żeby „iść z duchem czasu”, jak mówisz. Opowiedz mi o tym młodym człowieku. Co robi i gdzie go spotkałaś? Chcę wiedzieć wszystko o jego pochodzeniu. Nie możemy znowu dopuścić...

- Proszę, dziadziu - przerwała, zanim zdążył dokończyć zdanie. Wiedziała dokładnie, co chciał powiedzieć... dopuścić do prędkiego i fatalnego małżeństwa, jak tamto z Jeffem, kiedy była na drugim roku college'u. Tamta sprawa kosztowała rodzinę dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a w jej psychice pozostawiła głębokie blizny i niechęć do powtórnego małżeństwa. Tamten związek był zresztą jeszcze jedną konsekwencją tragedii, jaką przeżyła w dzieciństwie. Dużo czasu minęło, zanim zdołała jakoś się pozbierać, odzyskała szacunek dla samej siebie i znalazła miejsce w życiu. - Powiedziałam po prostu, że spotkałam interesującego człowieka. Nie mówiłam, że mogłby zostać moim mężem.

- Katherine. - Wziął ją za rękę. - Masz prawie trzydzieści lat. Czy nie czas, żebyś założyła rodzinę?

Zmarszczyła czoło, przez jej twarz przemknął wyraz zadumy. Wspomnienia jednak tylko utwierdzały jej przekonania.

- Nie szukam kolejnego męża. Już miałam jednego,

pamiętasz? - Uśmiechnęła się. - Czy moglibyśmy zmienić temat?

- Dobrze. - Poklepał ją po ręku. - Opowiedz mi po prostu o tym interesującym człowieku, którego dziś poznałaś.

Katherine została u dziadka przez prawie cały wieczór. Opowiedziała o ostatnich wydarzeniach; o aukcji kawalerów, o tym, że Scott świetnie się nadawał do tego, by wziąć w niej udział, o problemach ośrodka opiekuńczego w Oakland i o małej Jenny.

- Dziadziu, to po prostu rani mi serce. Gdybyś ją widział, gdy próbowałam ją nakłonić do przywitania się ze Scottem. - Uśmiechnęła się leciutko. - I gdybyś widział Scotta, kiedy Jenny zaczęła płakać.

- A które z nich zrobiło to? - Wskazał na bluzkę.

Katherine dopiero teraz spostrzegła, co się stało.

- Och! - Uśmiechnęła się łobuzersko. - Gdyby to był Scott, na pewno bym ci o nim nie opowiadała.

Było już późno, kiedy opuściła dziadka. Przegadali cały wieczór i zjedli razem kolację. Katherine obiecała nie zwlekać tak długo z kolejną wizytą.

- Carruthers - R.J. Fairchild wezwał lokaja. - Połącz mnie z Bobem Templetonem.

Po kilku minutach Carruthers podał swemu panu przenośny aparat.

- R.J.," wiesz, która godzina? Adwokatów nie wzywa się o tej porze, chyba że ktoś trafi do pudła. No więc, kogo przymknęli? - Bob był najwyraźniej zirytowany tak późnym telefonem.

- Daruj sobie te bzdury, Bob. Pierwszą rzeczą, jaką zrobisz rano, będzie ustalenie dossier Scotta Blake'a z Blake Construction. Chcę wiedzieć wszystko o nim, jego rodzinie i interesach. I Bob... to ściśle tajne.

Katherine wprowadziła mercedesa do garażu przeznaczanego na dwa samochody. Przeszła obok windy

i weszła po schodach na trzecie, ostatnie piętro swego domu. To była jej enklawa, odcięta od całego świata. Mieściły się tu sypialnia, łazienka, pokój do pracy i szeroki taras, z którego roztaczał się zapierający dech w piersi widok na zatokę i zielone wzgórza Marin.

Katherine szybko zrzuciła pantofle, rozebrała się i włożyła dzinsy i podkoszulek. Zmyła cały makijaż, rozczesała długie włosy i związała je w koński ogon. Było już późno, ale miała jeszcze przed sobą jakieś dwie godziny papierkowej roboty. Niechętnie sięgnęła po teczkę i weszła do „biura”.

Usiadła co prawda przy biurku, ale nie zaczęła pracować; myślała bez przerwy o Scotcie. Scharakteryzowanie go jako „interesującego człowieka”, było wielkim niedomówieniem. Kiedy rozmawiała ze Scottem, powiedziała mu, że zazwyczaj dostaje to, czego chce. Przemilczała natomiast, że teraz potrzebuje właśnie jego i to nie tylko na aukcję dobroczynną. W chwili gdy poczuła jego dotyk, usłyszała miękki głos i ujrzała olśniewający uśmiech, zrozumiała, że Scott jest kimś wyjątkowym. Nie wiedziała jeszcze jak, ale miała zamiar pokazać mu prawdziwą Katherine Fairchild, a nie tę, którą znał z gazet i o której niewątpliwie miał wyrobioną opinię.

Natknięcie się na niego w Hyatt było uśmiechem losu, a może przeznaczeniem. Widziała, jakie wrażenie wywarł na nim ośrodek opiekuńczy w Oakland i nie miała wątpliwości, że przyjmie jej propozycję udziału w aukcji. Zastanawiała się, jak zorganizuje tę randkę. Może będzie to wieczór w teatrze, a potem elegancka kolacja? Przymknęła oczy. Pod powiekami natychmiast pojawił się obraz Scotta Blake'a. Był opalony, jasnowłosy, śnieżnobiałe zęby lśniły, gdy się uśmiechał. Na wspomnienie szarych oczu, taksujących ją uważnie w windzie w Hyatt, poczuła przyspieszone bicie serca.

Jeszcze o tym nie wiesz, Scotcie Blake, ale jesteś mój, cały mój...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Scott rozsunął drzwi i wyszedł na dziedziniec, spoglądając w stronę zatoki. On też, podobnie jak matka, mieszkał w Tiburon, tuż obok klubu jachtowego, gdzie cumowała jego żaglówka. Poczłł chłód wilgotnego nocnego powietrza. Upłynęła już godzina, odkąd wyszedł z matką z restauracji.

Ku jego zaskoczeniu, Lynn Blake bardzo zainteresowała się propozycją pracy w ośrodku opiekuńczym. Obiecała, że pojedzie z nim następnego dnia, aby spotkać się z Cheryl. Musiał tylko rano zadzwonić, żeby ustalić godzinę.

Postanowił też zadzwonić do Katherine Fairchild i powiedzieć jej, że weźmie udział w aukcji. Pograżył się w rozmyślaniach. Zabawne, kiedy opowiedział matce o propozycji Katherine i swojej pierwszej reakcji, stwierdziła, że powinien się zgodzić, i że może się nawet nieźle bawić. Była trzecią kobietą, która mu to powiedziała.

Perfumy Katherine, a właściwie wspomnienie ich woni wciąż drażniło mu zmysły. Zapach był pikantny, ale nie przytłaczający. Wciąż też czuł ciepło jej dłoni, gdy podała mu rękę. Wystarczyło zamknąć oczy, a jej twarz ukazywała mu się jak żywa; turkusowe oczy, otoczone długimi czarnymi rzęsami, kruczoczarne włosy, okalające śmietankowobiałą cerę. Targały nim mieszane uczucia. Agresywne feministki nie były w jego typie, a agresywne, bogate i kapryśne feministki umieszczały w ogóle na końcu listy rankingowej. Wczo-

raj, przed spotkaniem z Katherine, przypuszczał, że wie o niej wszystko, co musiał i chciał wiedzieć. Teraz zdał sobie sprawę, że nie miał i w dalszym ciągu nie ma pojęcia, kim w rzeczywistości jest Kat Fairchild.

Gdy tylko Scott dotarł do biura, zadzwonił do Cheryl i umówił się, że przywiezie matkę na spotkanie o drugiej po południu. Cheryl bardzo się ucieszyła, zwłaszcza na wiadomość o kwalifikacjach Lynn. Potem zadzwonił do biura Katherine. Rozczarowany, że jej nie zastał, powiadomił tylko Liz Torrance o zamiarze wzięcia udziału w aukcji kawalerów.

Otworzył szufladę i wyjął szkic twarzy Katherine. Uosabiała to wszystko, czego nie lubił u kobiet... i nie przestawał o niej myśleć.

- Pani Blake, jak miło znów panią widzieć. - Oblicze Amelii jaśniało szczerą radością.

- Dzień dobry, Amelio. Ja też się cieszę, że cię widzę. Scott jest u siebie? Przyszłam trochę wcześniej, ale pomyślałam, że może uda nam się zjeść razem lunch.

- Rozmawia przez telefon. Zaraz do pani przyjdzie. - Amelię zawsze cieszyły wizyty Lynn.

Obie kobiety łączyła przyjaźń wielu lat spędzonych u boku tego samego mężczyzny, choć w innym charakterze. Teraz łączącym je punktem stał się Scott. Obie uważały, że powinien wreszcie związać się z odpowiednią dla siebie kobietą i założyć rodzinę. Lynn przy wielu okazjach, niby przypadkiem, wspominała przy nim, że wszyscy jej znajomi mają już wnuki.

- No tak, gdy zbierzecie się razem, czuję się Jakbym znowu miał dziesięć lat. - Scott przywitał się z matką. Błysk w oczach świadczył o tym, że żartuje.

- Wiem, że jestem za wcześnie. Pomyślałam, że może zjemy razem lunch. - Lynn odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów. - Jeśli nie masz czasu, pójdę na zakupy... - Nagle zwróciła się do Amelii tknięta nową myślą. - A może byśmy zjadły lunch we dwie? Wreszcie mogłybyśmy sobie pogadać. - Uśmiechnęła się do Scotta i zwróciła ponownie do Amelii. - Opowiedz mi, czym ostatnio zajmował się mój syn.

- Zapraszasz mnie na lunch, a następnie odprawiasz, i to wszystko w jednym zdaniu. - Scott roześmiał się.

- Czy chciałbyś z nami pójść, kochanie? - Lynn spozrzała na niego z miną niewiniątka.

- Nie ma mowy. Jedna z was zawiązałyby mi śliniaczek pod brodą, a druga pokroiłaby jedzenie, które oczywiście wybrałybyście z menu dla dzieci. - Spojrzał na zegarek. - Macie dwie godziny. Spotykamy się tu o wpół do drugiej.

- Dobry chłopiec. Mama dobrze cię wychowała. - Lynn poklepała go po policzku.

Scott wznosił oczy do nieba i potrząsnął głową.

- Czym sobie na to zasłużyłem? - spytał bezradnie.

- Dwie godziny na lunch, panie Blake? Jest pan pewien? - Amelia nie mogła pozbyć się wątpliwości.

- Amelio, ja tu jestem szefem. Przynajmniej tak jest napisane w dokumentach... Mogę podjąć decyzję. Jaką chcę. A teraz zmykajcie stąd i bawcie się dobrze. - Odprowadził obie panie do drzwi. - Zobaczymy się później.

Czekając na jedzenie, Lynn opowiedziała Amelii o zaplanowanym spotkaniu w ośrodku opiekuńczym. Amelia była zachwycona.

- Wiedziałam, że ta pani Fairchild namówi go do czegoś. To bardzo zdecydowana osoba. Taka kobieta może wykołować mężczyznę, ale druga kobieta zawsze ją rozszyfruje. Pan Scott jeszcze nie wszystko w niej

docenia. - Amelia rozejrzała się dokoła, jakby chcąc sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje, po czym dodała: - Myślę, że to byłaby dla niego dobra partia, chociaż on tego jeszcze nie pojmuje.

Scott otworzył przed Lynn drzwi samochodu, rozglądając się równocześnie dokoła; w pobliżu kręciło się kilku młodych ludzi, najwyraźniej „na warcie”. Nigdzie natomiast nie widział Billy'ego i zaczął się zastanawiać, czy samochód będzie tu bezpieczny. Wziął papierową torebkę z tylnego siedzenia i zamknął drzwi.

- Cheryl, to moja matka, Lynn Blake. Mamo, to Cheryl Johnson. Kieruje działalnością ośrodka i potrzebuje pierwszorzędnej pomocy w zamian za trzeciorzędne wynagrodzenie.

Cheryl rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym zwróciła się do Lynn, wyciągając rękę:

- Miło cię poznać, Lynn. To co mówi Scott, jest prawdą, chociaż ja może użyłabym innych słów.

Cheryl zabrała Lynn, żeby obejrzała sobie cały ośrodek, pozostawiając Scotta samemu sobie. Jego wzrok przeslizgnął się po całym pokoju i w końcu spoczął na masie blond loków otaczających drobną twarzyczkę. Z kąta spoglądała na niego para wielkich brązowych oczu. Natychmiast usiadł na podłodze, aby znaleźć się na tym samym poziomie, co dziewczynka. Sięgnął po papierową torbę i wyjął z niej misia, którego kupił, gdy Lynn i Amelia były na lunchu. Wyciągnął zabawkę w stronę Jenny i uśmiechając się, zawołał łagodnie:

- Cześć, Jenny. Pamiętasz mnie? Mam na imię Scott i jestem przyjacielem Kat. Chciałbym, żebyś ty też została moją przyjaciółką. Zobacz, przyniosłem ci prezent. Przyjdiesz do mnie i powiesz „cześć”? Kat

mówi, że masz śliczny uśmiech. Uśmiechniesz się do mnie?

Czekał nieruchomo, aż Jenny powolutku przebędzie drogę prowadzącą z holu do biura. Wciąż do niej mówił, pilnując się równocześnie, aby nie wykonać żadnego gwałtownego ruchu. Jenny posuwała się wolno, przystając przy każdym napotkanym meblu.

Katherine Fairchild zaparkowała przed ośrodkiem. Od razu zauważyła samochód Scotta. Wiedziała już, że miał przyprowadzić matkę, bo Cheryl zadzwoniła do niej zaraz po jego telefonie. To samo zrobiła Liz, gdy dowiedziała się, że Scott weźmie udział w aukcji. Katherine uśmiechnęła się, wysiadając z samochodu. Gdyby Scott wiedział, ile osób czeka na jego najmniejsze słówko, pewnie dostałby zawrotu głowy. W drzwiach powitały ją chichoty i okrzyki radości. Pośrodku pokoju siedział po turecku Scott i łaskotał Jenny, która śmiała się do rozpuku, przyciskając do siebie misia. Katherine poczuła, że łzy napływają jej do oczu, kiedy patrzyła, jak tych dwoje bawi się razem. Jeśli kiedykolwiek miała jakieś wątpliwości co do Scotta, to teraz rozwiały się one zupełnie.

- Kat! Kat! - Jenny uwolniła się z jego uścisku i podbiegła do niej.

- Cześć, Jenny. Dobrze się bawiliście ze Scottem? - Objęła i podniosła roześmianą dziewczynkę.

- Scott mnie łaskotał i robił śmieszne miny.

- A co ty tu masz, Jenny? - Katherine wskazała na misia.

- Scott dał mi misia.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się do niego. Próbował odwrócić twarz, ale nie był dostatecznie szybki. Katherine świetnie widziała, że czuł się zakłopotany faktem, iż przyłapała go na zabawie z Jenny.

- Hm, moja matka i Cheryl... - machnął ręką



w stronę drzwi - obchodzą cały budynek. - Nie patrzył jej w oczy i bardzo chciał, żeby nie wracała już do poprzedniego tematu. - Dzwoniłem rano do biura i rozmawiałem z niejaką Liz Torrance. Powiedziałem jej, że wezmę udział w aukcji.

Mówiąc do Katherine, Scott kątem oka przyglądał się, jak jest ubrana; sztywne dzinsy i sweter, włoskie kozaki, nieznaczny makijaż i włosy zaplecione w francuski warkocz. Urzędowo ubrana kobieta z eleganckiego świata, którą spotkał wczoraj, gdzieś zniknęła. Dzisiejszy strój wciąż może jeszcze nie był zbyt swobodny, ale przynajmniej Scott nie miał przed sobą najnowszego modelu z kolekcji znanego projektanta mody.

On sam ubrany był inaczej niż wczoraj. Poprzedniego dnia oficjalne spotkanie z Brianem Colgrave'em wymagało garnituru i krawata. Dzisiejszy strój bardziej licował z jego osobowością. To, co matka określała jako „znoszone”, on wolał nazywać „odpowiednio dobranym”; dzinsy i sweter w jaskrawy wzór podkreślały jego opaleniznę i blond włosy.

- Cieszę się, że przyjąłeś propozycję. - Katherine uśmiechnęła się do niego promiennie. - Teraz mogę być pewna, że odniesiemy sukces. Zastanawiałeś się już nad programem randki?

Scott podszedł bliżej. Kiedy stanął koło Katherine, Jenny wychyliła się ku niemu, wziął ją więc na ręce.

- To było bardzo ciekawe... - Lynn przerwała w pół zdania, kiedy wchodząc z Cheryl do pokoju ujrzała Scotta z dzieckiem na ręku i stojącą obok dziewczynę. Uśmiechnęła się ciepło. Natychmiast rozpoznała Katherine Fairchild, której zdjęcia widziała wielokrotnie w gazetach.

- Proszę, proszę. - Rozbawiony głos Cheryl prze-rwał ciszę, która zniemacka zaległa w pokoju. - Co my tu widzimy? Jenny, kim jest twój nowy przyjaciel?

Drobna rączka pacnęła go po nosie, a potem po policzku.

- To Scott. Łaskotał mnie i robił śmieszne miny. - I dał mi misia. - Pokazała zabawkę.

- Nie uwierzyłabym, gdybym nie zobaczyła na własne oczy. - Cheryl zwróciła się do Scotta. - Jesteś chyba cudotwórcą.

Katherine wyciągnęła rękę i uszczypnęła małą w nosek, wzbudzając tym kolejną falę chichotu.

- Scott jest zdecydowanie bohaterem dnia. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Ja też bym nie uwierzyła.

- No, Jenny - Cheryl wzięła małą na ręce - pora na drzemkę. Pożegnaj się ze Scottem.

Z oczu dziewczynki trysnęły łzy.

- Chce-, żeby Scott mnie zaniósł do łóżeczka. - Dziecko mocno objęło rączkami jego szyję.

Przerażone spojrzenie Scotta krążyło między Cheryl, Katherine i Lynn. Nie wiedział nic o dzieciach, a już na pewno nie miał żadnego pojęcia o małych dziewczynkach. Wyszeptał błagalnie:

- Czy ktoś może mi pomóc?

- Oczywiście, że Scott cię zanieś, Jenny. - Katherine postanowiła wykorzystać nadarżającą się okazję. Chwyciła jego wolną rękę i poprowadziła w stronę holu.

W tej chwili drzwi otwarły się z hukiem i do pokoju padł Billy.

- Mamy kłopoty! Stara Jenny i ten sukinsyn, który ją bił, zaraz tu będą. Macie minutę, żeby ukryć małą.

Katherine nie czekała ani sekundy. Wyrwała Jenny z rąk zaskoczonego Scotta i podała Cheryl.

- Weź ją szybko na górę. - Spojrzała na Billy'ego, jakby wiedząc, co zaraz się stanie. - Billy, schowaj ten nóż i zmykaj stąd.

- Nigdzie nie idę. - Chłopak zatrzasnął nóż i wsunął do kieszeni, a w jego oczach pojawił się wrogi błysk.

- Mogę go załatwić i bez noża. - Billy nie był wysoki,

ale nie ulegało wątpliwości, że wmiesza się w każdą bójkę.

- Mam nakaz sądu. Matka Jenny nie może jej stąd zabrać, jeśli nie dowiedzie, że jest zdolna do sprawowania opieki, a to się nigdy nie stanie. Teraz...

Dalsze słowa Katherine zagłuszył męski głos:

- Dobra, dawajcie dzieciaka i spływamy. - Głos należał do młodego, mniej więcej dwudziestoletniego człowieka w brudnym ubraniu, z zielonymi włosami i kolczykiem w uchu. Ruszył śmiało w stronę Katherine. Za nim podążała niewysoka blondynka, nie mająca jeszcze dwudziestu lat, niewątpliwie matka Jenny. Miała na sobie nieprawdopodobnie krótką spódnicę i równie krótką bluzkę.

Katherine nie ruszyła się z miejsca, patrząc wyzywająco na intruzów.

- Mam nakaz sądu oddający Jenny pod opiekę ośrodka. Nie możecie jej zabrać. A teraz proszę stąd wyjść albo zadzwonię po policję.

- Gwiżdżę na ten świstek papieru. Wanda - młody człowiek wskazał palcem blondynkę - chce odzyskać dzieciaka.

- Nie rozśmieszaj mnie. - Głos Katherine zdradzał wyraźne obrzydzenie - Jedyna rzecz, jaką chcesz odzyskać, to dodatek na dziecko.

Scott szybko ocenił przyjaciela Wandy. Chłopak był drobnej budowy, trochę niższy od Billy'ego. Facet, który dla dodania sobie wartości bije małe dziewczynki, nie przyjąłby wyzwania od dobrze zbudowanego mężczyzny, którego wzrost przekraczał sto osiemdziesiąt centymetrów, a waga wynosiła ponad czterdzieści kilo. Scott spostrzegł, że Billy sięga do kieszeni, w której ukryty był nóż. Szybko zagroził mu drogę i położył rękę na ramieniu drobnego mężczyzny, który znalazł się przed nim. Z uśmiechem na ustach zaczął go popychać w drugi koniec pokoju, mówiąc:

- Chyba zaszło tu jakieś nieporozumienie. Może pomogę w wyjaśnieniu sprawy.

To były ostatnie słowa, które Katherine, Lynn i Wanda zdołały usłyszeć. Następne były już bowiem wypowiedziane zbyt cicho. Scott nie przestawał jednak mówić, z tym samym uśmiechem na ustach, a jego dłoń wciąż spoczywała na ramieniu intruza.

- Nie musimy dzwonić po policję. Załatwimy tę sprawę znacznie prościej. Mnie osobiście nie zależy na kłopotach. Nie lubię przemocy. Ale ten wzburzony człowiek - wskazał na Billy'ego, który opierając się o ścianę śledził uważnie każde słowo - chętnie roztrzaskałby ci kości.

Mężczyzna rzucił niepewne spojrzenie najpierw na Billy'ego, później na Scotta, który odgradzał mu odwrót i przytłaczał go swoim wzrostem.

- No co, chyba nie masz ochoty wplątywać się w brudną aferę? - kontynuował Scott, zaciskając równocześnie palce na ramieniu mężczyzny, dopóki nie poczuł, że tamten wzdrygnął się pod wpływem bólu. - A poza tym są tu panie... Kobiety nie znoszą widoku krwi. Nie wiem też, kto miałby sprzątnąć to, co po tobie zostanie. Nie będę mówił za innych, ale ja nie mam ochoty brudzić rąk. - Scott puścił wreszcie ramię mężczyzny i wyprostował się, spoglądając na niego z góry. - No, a teraz ty i twoja dziewczyna lepiej stąd zmiatajcie. Czy dobrze się zrozumieliśmy?

Chłopak skinął głową. Sytuacja stała się dla niego bardzo niewygodna. Był sam, wciśnięty w kąt przez faceta dużo wyższego od siebie, a obok stał uliczny chuligan z nożem. Scott jeszcze raz uśmiechnął się i ścisnął jego ramię, po czym odezwał się już normalnym głosem, który wszyscy mogli usłyszeć:

- Przepraszam, przyjacielu, ale chyba nie usłyszałem twojego imienia.

- Tom - burknął bez entuzjazmu.

- Pechowo się składa, Tom, że już musicie uciekać, ale miło, że wpadliście. - Scott zwrócił się teraz do Billy'ego. - Chyba pożegnasz się z naszymi gośćmi. Nie chciałbym, żeby wzięli nas za ludzi źle wychowanych.

- Jasne. To byłoby przykre. - Billy uśmiechnął się, podchodząc do nich wolnym krokiem. Zacisnął palce na ramieniu Toma. - Miło było cię zobaczyć, Tom.

Tom chwycił Wandę za rękę i pociągnął ją za sobą w stronę drzwi, obracając się, aby rzucić na Scotta przelotne spojrzenie.

- On tu wróci - powiedział Scott poważnie.

Billy spojrzał na niego wzrokiem pełnym podziwu i szacunku.

- Nie wątpię - odpowiedział.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Czy ktoś byłby tak łaskawy - Katherine wtrąciła się do rozmowy - i wyjaśnił mi, co tu się właściwie stało?

- Ach... - Scott usiłował zbagatelizować sprawę. - Wyjaśniliśmy mu tylko - mrugnął nieznacznie do Billy'ego - dlaczego popełnił błąd, przychodząc tutaj.

- Nie zamierzasz powtórzyć mi tego, co mu powiedziałeś?

- Ależ, pani Fairchild. - Oczy Scotta wyrażały urażoną niewinność. - Przecież właśnie wszystko powiedziałem. Co miałbym jeszcze dodać?

Katherine przeniosła spojrzenie na Billy'ego. Na jego twarzy znalazła potwierdzenie tego, co właśnie usłyszała.

- Widzę, że niczego się od was nie dowiem. - Podeszła do schodów. - Cheryl! Możecie zejść. Już sobie poszli.

Cheryl szybko zbiegła na dół, trzymając Jenny na ręku. Obrzuciła uważnym spojrzeniem pokój i zwróciła się do Lynn, która stała dotąd z boku, uważnie obserwując całą scenę.

- Mam nadzieję, że nie straciłaś odwagi, chciałabym, żebyś jednak przyjęła moją propozycję.

Lynn rozejrzała się, zatrzymując przez chwilę wzrok na każdej z obecnych osób.

- Przez dwadzieścia lat uczyłam angielskiego w liceum. W tym czasie, niestety, podobne wydarzenia stały się dla mnie chlebem powszednim - przerwała, widząc

zaniepokojone spojrzenia wszystkich, z wyjątkiem Scotta. - Mogę zacząć od jutra, jeśli wam to odpowiada.

- Witamy na pokładzie. - Cheryl odetchnęła z ulgą.

- Mamo, pozwól, że ci przedstawię... To jest Katherine Fairchild.

Obie kobiety uściśniły sobie ręce.

- Bardzo mi miło, Lynn. Twój syn... - Katherine uśmiechnęła się do Scotta - jest pełen niespodzianek.

Scott poczuł rumieniec rozlewający się po policzkach. Czym prędzej zmienił temat.

- Mamo, pozwól, to Billy Sanchez. Billy, poznaj moją matkę, Lynn Blake. Od jutra będzie tu pracować.

- Uśmiechnął się do chłopca, po czym zwrócił znowu do Lynn. - Daj Billy'emu dokładny opis samochodu, łącznie z numerem tablicy rejestracyjnej. W przeciwnym razie może się zdarzyć, że samochód zniknie z powierzchni ziemi.

- Ach, więc pani jest starą Scotta. - Billy obszedł Lynn, przyglądając jej się uważnie. - Młodo pani wygląda.

- Jestem jego matką, a nie „starą”. - Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Mimo wszystko dziękuję za komplement.

- Jasne... - Billy kiwnął głową i uśmiechnął się.

Chwila napięcia minęła. Scott odetchnął z ulgą.

- Muszę jeszcze wrócić do biura. Zostajesz tutaj? - zwrócił się do matki.

Lynn zawahała się i Katherine natychmiast postanowiła wykorzystać jej niezdecydowanie.

- Zajmij się swoimi sprawami - zwróciła się do Scotta. - Już i tak забраłyśmy ci dużo czasu. Mogę przecież podrzucić Lynn, gdzie tylko będzie chciała.

- Dziękuję. - Lynn ucieszyło takie rozwiązanie; chciała spędzić z Katherine więcej czasu, żeby ją lepiej poznać.

Nagle do rozmowy wtrącił się cieniutki głosik: - Chcę, żeby on mnie położył spać. - Jenny wyciągnęła ręce w stronę Scotta, który spojrzał błagalnie na Cheryl; nie miał przecież pojęcia, jak się do tego zabrać. Cheryl przytuliła dziewczynkę mocniej i powiedziała łagodnie:

- Scott musi teraz iść. Połóż cię spać innym razem.

Brazowe oczy Jenny wypełniły się łzami.

- Chcę, żeby Scott mnie położył spać. - Po policzku stoczyła się pierwsza łza, kiedy mała wyciągnęła ręce do swojego przyjaciela.

Niechętnie, nie bardzo wiedząc, co dalej zrobić, Scott wziął dziewczynkę na ręce.

- Nigdy jeszcze nie kładłem małych dziewczynek do łóżka. Powiesz mi, jak to się robi? - spytał łagodnie.

Wszyscy zebrani spoglądali na niego, gdy niósł Jenny na górę. Katherine nie wiedziała, co myślą inni, ale jej własne myśli nie nadawały się do publicznego przedstawienia. Patrzyła na Scotta. Może i nie masz doświadczenia z małymi dziewczynkami, ale założę się, że z dużymi masz go sporo, pomyślała.

Scott mógł być nieświadomy wzroku Katherine, ale nie Lynn. Widziała każdą zmianę w wyrazie twarzy młodej kobiety. Wyglądało na to, że Katherine nie tylko świetnie pasuje do Scotta, ale jest też nim bardzo zainteresowana.

Cheryl i Lynn powróciły do omawiania podziału pracy, a Katherine zajęła się porządkowaniem papierów. Po dziesięciu minutach Scott zszedł na dół. Był najwyraźniej podniecony rolą, w jakiej przyszło mu wystąpić.

- Od razu zasnęła - powiedział wchodząc do pokoju. Spojrzał na matkę. - Chciała, żebym opowiedział jej bajkę na dobranoc, ale już żadnej nie pamiętam.

Katherine spostrzegła, że się zarumienił. Chciała sobie z niego zażartować, lecz zmieniła zamiar.

- Przepraszam cię, że tak się stało, ale nie chciałam tego przerywać ze względu na Jenny. - Spojrzała mu w oczy i dodała miękko: - Dziękuję za pomoc.

Scott nie mógł oderwać wzroku od jej cudownych turkusowych oczu, które zdawały się zaglądać mu głęboko w duszę.

- Nie ma sprawy - wyjąkał w końcu. Rozejrzał się po pokoju. - Przepraszam, ale muszę uciekać; interesy czekają.

Po jego wyjściu Cheryl i Katherine powróciły do wyjaśniania Lynn zasad funkcjonowania ośrodka, mówiły o programie edukacyjnym i ludziach związanych z działalnością dobroczynną. W końcu Katherine spojrzała na zegarek.

- Mój Boże! Ależ ten czas ucieka. Boję się, że zatrzymałyśmy cię tu zbyt długo - zwróciła się do matki Scotta.

- Nic podobnego. Dowiedziałam się tylu rzeczy!

- Podrzucę cię do domu. Jesteś gotowa?

- Mieszkam w Tiburon, Katherine. Obawiam się, że to dla ciebie zupełnie nie po drodze. Pojadę autokarem, potem promem do Sausalito i tam przesiądę się do autobusu.

- Nie chcę nawet o tym słyszeć. Podwiozę cię do Tiburon. - Katherine usiłowała znaleźć jakiś pretekst, aby spędzić z Lynn więcej czasu. - Jeden z moich przyjaciół zachwycał się ostatnio restauracją w Sausalito. Czy nie wybrałabyś się ze mną na kolację?

Lynn przystała z zapałem na nową propozycję. Obie panie zjadły kolację w małej eleganckiej restauracji nad zatoką. Zadzierzgnęła się między nimi nic prawdziwej przyjaźni. Czas szybko mijał na miłej pogawędce o sztuce, podróżach i wydarzeniach politycznych. Samochód Katherine wjechał na kręty podjazd prowadzący do domu pani Blake.

- Może wstąpiłabyś do mnie na kawę? - spytała Lynn, zbierając rzeczy z siedzenia.

- Z rozkoszą. - Katherine ucieszyła się z zaproszenia.

Gdy weszły do domu, Lynn skierowała się w stronę kuchni, zostawiając gościa w salonie.

Katherine rozejrzała się po pokoju. Czuło się tu atmosferę miłości i przyjaźni łączących ludzi, którzy przeżyli w tym domu wiele lat. Brała do ręki fotografie i przyglądała im się uważnie. Zdjęcia z jej dzieciństwa były zawsze oficjalnymi rodzinnymi dokumentami. Te tutaj, robione przypadkowo, upamiętniały chwile zabawy i radości tych, którzy cieszą się z tego, że są razem.

Katherine nie miała takich wspomnień. Rodzice podróżowali, zostawiając dzieci pod opieką guwernantek i służby, a w czasie wakacji wysyłano ją gdzieś na miesiąc w towarzystwie innych dobrze wychowanych dziewczynek. Nazywało się to „obozem”, ale w niczym nie przypominało miejsca, gdzie dzieci bawią się, brudzą i cieszą swobodą. Jedyne dziadek próbował uczynić jej dzieciństwo bardziej normalnym.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Ogarnęły ją wspomnienia, które przez wiele lat odsuwała od siebie, starała się wyrzucić z pamięci. Słyszac, że Lynn nadchodzi, Katherine szybko otarła łzy.

Katherine wjechała do garażu. W głowie kłębiły jej się najróżniejsze myśli i uczucia. Zazdrościła Scottowi, miał dobry i ciepły dom, kochającą i troskliwą matkę. Wiele lat upłynęło, zanim Katherine zdołała dojść do ładu z własnymi uczuciami. Wynikiem tego był dystans, jaki stale zachowywała w stosunku do wszystkich członków swej rodziny, wszystkich, z wyjątkiem dziadka. Nawet obecnie jej spotkania z ojcem czy braćmi pozbawione były serdeczności i ciepła.

Ojciec był zbyt pochłonięty pracą, aby na cokolwiek zwracać uwagę; zająć się dziećmi czy dostrzec problemy żony, która pozbawiona pomocy, pogrążyła się w depresji. Dopiero dziadek zauważył, że dzieje się z nią coś złego.

Matka wolała popełnić samobójstwo, niż stanąć wobec hańby i ponieść karę, kiedy wyszedł na jaw fakt, że znęca się nad Katherine. Jej śmierć pogłębiła jedynie u córki poczucie winy. Matka mówiła, że ją kocha, a karze ją dla jej dobra. Katherine poczuła się winna jej śmierci; dziadek wyciągnął z niej przecież tę tajemnicę, którą miała na zawsze zachować dla siebie, tak przyrzekła matce. Po jej śmierci przez kilka lat kryła w sobie najbardziej grzeszną winę ze wszystkich: fakt, że wiadomość o śmierci matki przyniosła jej tylko ulgę.

W końcu zrozumiała, że rozpamiętywanie złych wspomnień niczemu nie służy. Można z nich było jedynie wyciągnąć wnioski. Z pełnego cierpienia dzieciństwa wynikało jedno dobro: zamiłowanie do działalności charytatywnej. Jeśli mogła pomóc choćby jednemu dziecku, nad którym znęcano się podobnie jak nad nią, to uważała, że praca ta jest czegoś warta.

Katherine otrząsnęła się z ponurych wspomnień. Złe czasy minęły i stały się historią. Powróciła myślą do ciekawego wieczoru, jaki spędziła z Lynn Blake. Miała nadzieję, że nie odstłoniła zbyt swych intencji, zadając pytania na temat Scotta. Poczuła łyż pod powiekami na wspomnienie Jenny tulącej się do niego, kiedy niósł ją po schodach na piętro.

Carruthers wpuścił Boba Templetona do holu.

- Pan Fairchild zaraz pana przyjmie.
  - Dziękuję, Carruthers. Zaczekam na werandzie.
- Adwokat skierował się ku tylnej części domu, znał tu

każdy kąt. Zerknął na zegarek i zdecydował, że godzina trzecia po południu jest odpowiednią porą na przygotowanie sobie drinka. Sięgnął więc do barku.

- Często się, Bob. Zapracowałeś sobie na to. - R.J. Fairchild wjechał na werandę. -A skoro już zająłeś się barkiem, to przygotuj drinka i dla mnie.

- Wiesz, co powiedział doktor...

- Wiem też, że przeżyłem mojego doktora i jestem o czterdzieści lat starszy od jego syna, który mnie teraz leczy i jego też przeżyję! Nie musisz mnie pouczać. Zabierzmy się lepiej do twojego raportu.

- Facet jest absolutnie czysty - zaczął Bob. - Trzy mandaty za parkowanie, a dwa lata temu jeden za szybką jazdę. Ukończył uniwersytet w Berkeley i po śmierci ojca przejął kontrolę nad firmą. Wszystkie akcje są w posiadaniu jego i matki, ona ma pięćdziesiąt pięć procent, on pozostałych czterdzieści pięć, tytuł prezesa i przewodniczącego rady nadzorczej. Jego ojciec sam tworzył tę firmę, działał zawsze bardzo uczciwie, a syn poszedł w jego ślady. Rodzina jest bardzo zżyta. - Templeton przeszedł do spraw osobistych. - Scott Blake nigdy się nie ożenił; ma za sobą kilka przygód, ale zawsze z zachowaniem dyskrecji, żadna zresztą nie była zbyt poważna. Poza jedną. Pięć lat temu zaręczył się. Mniej więcej w tym czasie zmarł jego ojciec i do małżeństwa nie doszło. Nie wiem, czy istnieje związek między zerwanymi zaręczynami i śmiercią ojca, czy też jest to zwykły zbieg okoliczności. W tej chwili nie jest z nikim związany. Jego matka, emerytowana nauczycielka liceum, od wczoraj pracuje w ośrodku opiekuńczym. Nie znalazłem nic, co by mogło wzbudzić niepokój.

Rysy starego mężczyzny wygładziły się, a na ustach pojawił się nieznaczny uśmiech.

- W porządku. Nigdy za dużo ostrożności po historii z tym tam... zapomniałem, jak się nazywał

facet, za którego Kat wtedy wyszła. Nie możemy pozwolić, żeby się to powtórzyło.

- R.J. - Adwokat spojrział na niego z dezaprobatą.  
- Wiesz, jak Katherine zareagowałyby, gdyby dowiedziały się, że kazałeś zbadać tego człowieka. Ona już nie ma dziewiętnastu lat. Nie możesz traktować jej ciągle jak małej dziewczynki. - Bob wiedział, że jego słowa trafiają w próżnię. Wiedział też, że R.J. Fairchild uwielbia swoją wnuczkę i za wszelką cenę usiłuje ją chronić.

Katherine zaparkowała przy krawężniku, obok trzech policyjnych wozów. Kiedy o piątej rano zadzwoniła Cheryl, włożyła na siebie jakieś ubranie i ruszyła prosto do ośrodka. Nie wiedziała, co się wydarzyło, ale wyglądało na to, że Billy wdał się w bójkę i ktoś został ranny.

Gdy weszła, ujrzała Cheryl rozmawiającą z dwoma policjantami, trzeci pilnował Billy'ego. Na jej widok chłopiec zerwał się z krzesła.

- Hej, Kat. Wanda i ten jej facet przyszli tu, żeby ...  
- Dosyć! Ani słowa, dopóki nie zjawi się tu mój adwokat.

- Ale ja nic nie zrobiłem...

- Dosyć!

Billy niechętnie usiadł, na jego twarzy malowała się irytacja. Patrzył spode łba na Katherine, która podeszła prosto do telefonu, nie zwracając uwagi na policjantów. Odezwała się do nich dopiero po skończonej rozmowie.

- Co tu się stało?

- Jestem sierżant Caswell, a pani...

- Katherine Fairchild.

- Pani tu decyduje?

-W tej sprawie, niezależnie od tego, o co chodzi, na

pewno tak. Pytam jeszcze raz: co tu się stało? - Katherine utkwiała zdecydowane spojrzenie w twarzy sierżanta.

- Wygląda na to, że ten młody człowiek, który odmawia nam podania nazwiska, wdał się w bójkę na noże z nie znaną nam jeszcze osobą. Sądząc po śladach krwi na drzwiach i po tym, że nie jest zraniony -policjant ruchem głowy wskazał Billy'ego - ktoś musi być teraz nieźle pocięty.

Katherine spojrzała na chłopca, który rzucił jej wyzywające spojrzenie, kryła się w nim jednak odrobina strachu.

- A gdzie ten drugi człowiek? - zwróciła się do oficera.

- Przeszukujemy okolicę. Ilość krwi wskazuje, że będzie potrzebował pomocy lekarskiej.

- Aresztujecie Billy'ego?

- Zatrzymamy go, dopóki nie ustalimy jego personaliów i nie zbadamy, co tu się właściwie stało. Ma na imię Billy?

- Niech pan na niego uważa, sierżancie Caswell. Chłopiec ma dopiero siedemnaście lat, jest niepełnoletni.

Do sierżanta dotarło w końcu, kim jest Katherine Fairchild. Stracił nieco animuszu, zwłaszcza gdy w ośrodku zjawił się Templeton. Adwokat Fairchildów nie wymagał prezentacji, wiadomo też było, że jest najlepszy w swym fachu. Do Oakland przyjechał nie ogolony, ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulkę.

- Katherine, co się tu dzieje? - Odciągnął ją na bok i przez chwilę cicho rozmawiali. Po chwili zwrócił się do policjanta. - Sierżancie Caswell, nazywam się Bob Templeton i będę reprezentował tego młodego człowieka. Mam nadzieję, że jest pan świadomy faktu, że chłopiec jest niepełnoletni. Czy już go pan przesłuchiwał?

- Wiem, kim pan jest, panie Templeton. Przesłuchiwałem go, ale nie udzielił mi żadnej odpowiedzi. Odmówił podania swoich personaliów i wyjaśnienia, co tu się stało.

- Jeśli pan pozwoli, porozmawiam chwilę z moim klientem na osobności. - Nie czekając na odpowiedź, chwycił Billy'ego i pociągnął w kąt pokoju. Katherine dołączyła do nich.

- Billy - zwróciła się do chłopca - to jest Bob Templeton, twój adwokat. Teraz powiedz nam dokładnie, co się stało i niczego nie opuszczaj.

Billy siedział przez chwilę w milczeniu, a w końcu, niechętnie, zaczął mówić.

- To była Wanda i ten jej facet, Tom. Przytapałem go, jak próbował się dostać do środka i trochę się poprzytkaliśmy. - Widząc wyraz twarzy Katherine, dorzucił szybko: - Nie zraniłem go za bardzo, zaciąłem tylko parę razy w ramię. Uciekł natychmiast. Jeśli ktoś się wyżywa na dziecku, to nie stanie do prawdziwej walki. - Billy rozejrzał się szybko po pokoju, upewniając się, że nikt ich nie słyszy. Zniżył głos do szeptu. - Upuścił to. - Podał Katherine kartkę papieru.

Przebiegła ją wzrokiem i rozgniewana podsunęła tekst Templetonowi. Opowiedziała mu, kim jest Jenny Hillerman i co się wydarzyło parę dni wcześniej.

- Kto jeszcze uczestniczył w tej konfrontacji?

- Ja, Billy, Wanda i Tom, Lynn Blake i Scott Blake. Zanim Wanda i Tom wpadli tu, wysłałam Cheryl z małą na górę. Lynn pracuje u nas od niedawna, a...

- Tak, wiem, kim są Blake'owie. - Bob powiedział to zbyt szybko, zdał sobie z tego sprawę, zanim skończył mówić. Popełnił błąd niewybaczalny dla adwokata: najpierw powiedział, potem pomyślał.

Na twarzy Katherine malowało się zdumienie. Rzuciła tylko jedno słowo, ale więcej nie było trzeba: „Dziadek!”. Opanowała się jednak na tyle, aby wyjaśnić Bobowi, kim jest Billy i jakie są jego powiązania z ośrodkiem.

- W porządku, Katherine. Myślę, że uda mi się uzyskać dla niego zwolnienie i oddanie pod opiekę ośrodka. Będiesz za niego odpowiedzialna. Co do poprzedniej historii z Jenny, biorąc pod uwagę, jakich mamy świadków, sądzę, że nie będzie problemu... Sędzia albo każe Billy'emu znaleźć pracę, albo wrócić do szkoły.

- O rany! - Chłopiec poderwał się gwałtownie. - Dlaczego mam być traktowany jak przestępca! Nie zrobiłem nic złego.

- Ponieważ niezależnie od tego, kto był winien, ten nóż sprężynowy pozostaje bronią nielegalną. Jeszcze się z tego nie wyplatałeś.

W tej chwili przed ośrodek zajechał samochód Scotta. Lynn oddała wóz do warsztatu i Scott zaproponował, że podrzuci ją do pracy. Oboje przestraszyli się na widok policji.

- Scott! - Katherine dostrzegła go, gdy tylko pojawił się w drzwiach. Wyjaśniła w skrócie, co się stało, a następnie przedstawiła Boba.

- Billy'ego na razie zabierają, ale myślę, że wydostanę go w ciągu kilku godzin. Wtedy porozmawiamy, co z nim dalej zrobić, mam na myśli pracę albo szkołę - wyjaśnił adwokat i wyszedł za policjantami na dwór.

Mimo że notatka została oddana policji jako dowód, Katherine miała przed oczami każde jej słowo: „Jeśli chcecie znów zobaczyć dziecko, zostawcie pięć tysięcy dolarów w papierowej torbie na progu głównego wejścia jutro o północy.” Powtórzyła te słowa Scottowi.

- Tylko pięć tysięcy dolarów... - dodała łagodnie, jakby z zadumą. - Dałabym sto razy tyle.

- Oni nie zdają sobie sprawy z wartości pieniędzy. Oboje są niewykształceni... para smarkaczy żyjących z zasiłku. Nie planowali porwania prominenckiego dziecka, ta dziewczyna chciała wykraść własną córkę,



a pięć tysięcy dolarów, to dla nich niewyobrażalna kupa forsy.

- Billy dopadł ich, zanim zdążyli porwać Jenny. Nie rozumiem, jak mogli coś takiego zaplanować.

Scott próbował nadać głosowi żartobliwy ton:

- Ach, pani Fairchild, jestem pewien, że pani spokojne i bezpieczne dzieciństwo...

- Jak śmiesz snuć jakiegokolwiek przypuszczenia na temat mojego dzieciństwa! Nie wiesz, o czym mówisz.

- Rozgniewana odwróciła twarz.

Scott stał przez chwilę oszołomiony; nie takiej reakcji oczekiwał. Chwytał Katherine za ramię.

- Kat? - Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Przepraszam, że sprawiłem ci przykrość. Nie chciałem...

- Nie ma sprawy. - Próbowała wyrwać ramię z uścisku.

Lekko musnął palcami jej policzek i uniósł podbródek tak, że mógł spojrzeć jej w oczy. Ujrzał w nich wszystko - gniew, ból, strach i jakąś bezradność.

- Chyba jednak jest sprawa - powiedział cicho. Chciał ją przytulić, wziąć w ramiona. Ta silna, stanowcza kobieta nagle wydała mu się tak delikatna. - Katherine? - Nie spuszczał z niej wzroku, jakby próbując wyczytać myśli z jej twarzy. Dojrzał w końcu zakłopotanie i Katherine odwróciła głowę. Delikatnie jeszcze raz uniósł jej podbródek i obrócił twarz w swoją stronę. - Co się stało?

- Nic... zupełnie nic. - Odsunęła się. Tak bardzo chciała, żeby ją przytulił. - Jestem tylko trochę zmęczona.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Katherine Fairchild, może znasz się na wielu rzeczach, ale kłamstwo do nich nie należy.

- Proszę, ja...

- Co powiesz na filiżankę kawy? A może poszlibyśmy na śniadanie? Bob i Billy wrócą dopiero za kilka

godzin, można by wykorzystać ten czas. - Uśmiechnął się zachęcająco.

- Sama nie wiem... - Rozejrzała się. Cheryl, Lynn i jeszcze dwie inne pracownice zajęte były sprawami służbowymi. - Wygląda na to, że nie jestem tu teraz potrzebna.

- Dobrze. Poczekaj chwilę, zadzwonię do biura, a potem możemy iść. - Scott wykonał szybki telefon do Amelii i wrócił do Katherine. - Jesteś gotowa?

W samochodzie żadne z nich nie odezwało się ani słowem, pogrążone we własnych myślach. Scott zastanawiał się nad przyczyną wybuchu Katherine. Emocje, które ujrzał wówczas na jej twarzy, poruszyły go do głębi.

Katherine zdawała sobie sprawę, że zbyt ostro zareagowała na jego żarty. Przyzwyczyła się już do emfaticznego „pani”, nie była jednak przygotowana na uwagi dotyczące jej dzieciństwa. Ale przecież Scott nie chciał jej dokuczyć, próbował tylko rozładować napiętą atmosferę. Powinna go przeprosić.

Gdy usiedli i zamówili jedzenie, Scott wreszcie przemówił. Był zdecydowany nie wracać do poprzedniej rozmowy.

- Co stanie się z Billym? Wspomniałaś coś o szkole?

Katherine wyraźnie rozluźniła się, opowiadając Scottowi o wszystkim, co się wydarzyło i powtarzając słowa adwokata na temat sytuacji chłopca.

- Nie wiem zupełnie, jak to załatwić. Kilka razy próbowałam namówić Billy'ego, żeby wrócił do szkoły, ale zdecydowanie odmawia. Nie ma zamiaru siedzieć w jednej klasie z grupą pęćtaków młodszych od siebie o pięć lat, a prawdę mówiąc, nie wiem, kto zaryzykowałby i przyjął go do pracy.

Katherine zamyśliła się. Ciepła dłoń Scotta, którą położył na jej ręce, kazała jej wrócić do rzeczywistości. Spletli razem palce i Katherine poczuła dreszcz pod-

niecienia ogarniający całe ciało. Uśmiechnęła się nieśmiało, patrząc mu w oczy. Scott czuł miękkość jej ręki i drzenie własnego ciała. W głębi duszy zdawał już sobie sprawę, że w jego życiu zaczyna dziać się coś bardzo ważnego.

- Myślę, że znam kogoś, kto zaryzykowałby i przyjął Billy'ego - powiedział cicho.

- Kto to jest? - Katherine spojrzała na niego zdumiona.

- Ja. - Nie musiał już nic dodawać. W oczach Katherine rozbłysło szczęście.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Bob i Billy wrócili do ośrodka tuż przed Scottem i Katherine.

- Billy został zwolniony na twoją odpowiedzialność - Bob zwrócił się do Katherine. - Data rozprawy została wyznaczona na przyszły tydzień. Rozmawiałem już z prokuratorem okręgowym i myślę, że powinniśmy uzyskać bardzo krótki okres kuracyjny. Rozumiesz? - powiedział Billy'emu. - Katherine odpowiada za wszystko, co robisz, więc masz się dobrze sprawować.

- Słyszałem. - Billy najwyraźniej nie był zachwycony perspektywą odpowiadania przed kimkolwiek.

- Scott zaproponował, że przyjmie cię do pracy. - Katherine spojrzała na niego z radością.

Chłopiec drgnął, a w jego głosie dało się wyczuć lekceważenie.

- Do czego? Do kopania dołów?

- Do uczciwej pracy odpowiednio wynagradzanej. - wyjaśnił Scott - Rozpoczynam budowę centrum handlowego w San Rafael. Prowadzę tam program szkoleniowy i akurat się do niego nadajesz.

Billy był dość mądry, żeby wiedzieć, kiedy należy zamilknąć.

- Jeszcze jedno. - Katherine spojrzała pytająco na Boba Templetona. - Czy mam prawo zabrać Jenny ze sobą do domu? Dopóki Wanda i Tom są na wolności, nie jest tu bezpieczna.

Bob poklepał ją po ramieniu.

- Jasne, myślę, że nie będzie z tym żadnego problemu.

Katherine uśmiechnęła się do niego z wyrazem ulgi na twarzy.

Wyglądało na to, że wszystko dobrze się układa.

- Mamo, o której mam cię stąd zabrać? - Scott zwrócił się do Lynn, która pracowała przy biurku.

—Jeśli chcesz, możesz tu zostawić samochód, a ja cię podrzucę do miasta... czy gdzie tylko sobie życzysz.

- Katherine natychmiast wmieszała się do rozmowy.

Scott wydał jeszcze Billy'emu polecenie stawienia się w biurze następnego ranka o siódmej, a potem wraz z Katherine opuścił ośrodek. Jechali jej samochodem przez Oakland Bay Bridge w kierunku San Francisco.

- Zawieźć cię do biura?

- Mam lepszy pomysł. Możesz mnie podrzucić do klubu jachtowego? Jest taki piękny dzień - przerwał i dokładnie zlustrował ją wzrokiem. - Ale najpierw zatrzymajmy się u ciebie, żebyś mogła się przebrać w coś odpowiedniego na żeglugę, a potem podjedziemy na chwilę do mnie.

- Na żeglugę? - spytała zdumiona. Spojrzała na niego, jakby chcąc się upewnić, czy nie żartuje. -W samym środku dnia pracy zamierzasz sobie popływać?

- Szybko się pani uczy, pani Fairchild. Dokładnie taki mam zamiar. Czy widzisz jakieś przeszkody?

- Spowaźniał i musnął palcami jej policzek. - Miałaś zwariowany ranek.

Wytrzymała jego wzrok na tyle długo, na ile pozwoliło jej zachowanie bezpieczeństwa jazdy, po czym uśmiechnęła się szeroko.

- Niema problemu, panie Blake. Absolutnie żadnego.

Wyminęła Scotta i pierwsza weszła do środka. Skierowali się po schodach na drugie piętro.

- Rozgość się, zaraz wrócę - rzuciła, wchodząc jeszcze wyżej.

Scott zaczął się rozglądać po pokoju. Był to duży

i wygodny pokój wypoczynkowy, w którym wyraźnie można było wyróżnić kilka części; w jednej znajdowały się stare zabawki i sprzęt audiowizualny, dalej stał stół do bilardu. Naprzeciw kominka ustawiono wygodną kanapę, a na podłodze leżało kilka ogromnych poduszek. Scott przeszedł na korytarz, zajrzał przez otwarte drzwi do łazienki i urządzonego ze smakiem pokoju, który wyglądał na pokój gościnny.

Tę inspekcję przerwał głos Katherine, dochodzący z trzeciego piętra:

- Nie krępuj się i obejrzyj sobie wszystko.

- Dziękuję, właśnie to robię.

Przeszedł przez elegancko urządzonego salon i zajrzał do jadalni. Zauważył najlepsze kryształ, srebro i chińską porcelanę. Kuchnia miała w sobie więcej ciepła, zwłaszcza kącik śniadaniowy. Część domu za garażem wyglądała na pomieszczenia dla służby, w tej chwili jednak wyraźnie nie zamieszkałe. Oznaczało to, że Katherine nie ma na stałe gosposi.

Scott wrócił na górę, a Katherine zjawiła się po chwili. Zadrzała, czując na sobie jego spojrzenie. Miała wrażenie, że jest naga. Scott z trudem odzyskiwał panowanie nad sobą. Dziewczyna wyglądała ślicznie. Była ubrana w błękitny podkoszulek i białe szorty. Włosy ściągnęła na karku, na szyję opadały tylko luźne kosmyki. Zatrzymał wzrok na jej ustach, zaledwie muśniętych szminką.

Katherine w końcu przerwała przedłużającą się ciszę.

- Jestem gotowa, możemy iść. - Uśmiechnęła się.

Jadąc w stronę domu Scotta, rozmawiali swobodnie. Scott chciał wiedzieć, czy Katherine już kiedyś żeglowała. Jego łódź była łatwa do prowadzenia; zresztą był na tyle doświadczony, że mógł popłynąć sam, ale zawsze lepiej jest mieć kogoś do pomocy.

Ucieszył się, że Katherine dobrze pływa i ma pojęcie o żeglarstwie.

Kiedy weszli do domu, Scott poszedł do sypialni, żeby się przebrać, a Katherine została w salonie. Przestronny, podobnie jak salon Lynn, odzwierciedlał jednak charakterystyczne zainteresowania jej syna. Lynn opowiadała o jego fascynacji przyrodą i ekologią. Katherine rozsunęła drzwi i wyszła na taras. Uśmiechnęła się, czując ciepło słońca na twarzy. Rzeczywiście, był to wymarzony dzień na pływanie.

Scott przyglądał się jej przez kilka minut, kiedy stała oparta o balustradę. Z trudem porządkował myśli. Znał wiele różnych kobiet, ale żadnej podobnej do Katherine.

O mało nie poślubił Carol. Data ślubu została już ustalona i wtedy jego ojciec dostał zawału. Niedługo potem umarł, a spokojne życie Scotta zmieniło się w jednej chwili. Musiał przejąć kontrolę nad firmą, i to w taki sposób, aby interesy nie doznały uszczerbku, a klienci nie poczuli się zagrożeni. No i musiał też zająć się matką. Carol zdawała się nie rozumieć, w jak trudnej sytuacji znalazł się jej narzeczony i bynajmniej nie miała zamiaru w jakikolwiek sposób mu pomóc.

Patrząc wstecz, Scott rozumiał, że to małżeństwo nie należałoby do udanych. Carol obsesyjnie dążyła do zapewnienia sobie odpowiedniej pozycji społecznej; jadała w restauracjach, gdzie gromadziła się śmietanka towarzyska, bywała na prestiżowych imprezach, nawet jeśli z góry wiedziała, że nie będzie się dobrze bawić, mimochodem wspominała nazwiska znanych osobistości, jakby należeli do grona jej przyjaciół, słowem - była snobką w każdym calu.

Miarka się przebrała, gdy Carol zapragnęła pójść na otwarcie nowej galerii, zapowiadane przez prasę jako wielkie wydarzenie towarzyskie. Tego właśnie wieczoru Scott musiał pomóc matce w selekcji osobis-

tych rzeczy ojca. Obiecał jej to już wcześniej i dla obojga była to ważna chwila. Carol zrobiła mu scenę i postawiła ultimatum: albo spędzą ten wieczór razem, albo między nimi wszystko skończone. Przegrała. Scott długo był nią zafascynowany i sądził, że ją kocha, zerwanie było więc dla niego prawdziwym ciosem.

Doświadczenia z Carol spowodowały, że czuł niechęć do kobiet bogatych i sławnych. Gdyby miał w sobie mniej siły, prawdopodobnie załamałby się po tych wszystkich przeżyciach.

Nie przestawał przyglądać się Katherine. Była wyjątkowa, była...

- Jestem gotowy—odezwał się, przerywając rozmyślania.

Katherine odwróciła się, jakby wyrwana z marzeń. Na widok Scotta poczuła, że traci oddech. Ubrany był w szorty i koszulkę, a strój ten podkreślał jego szerokie ramiona i muskularny tors. Opalenizna wskazywała, że spędza! dużo czasu na powietrzu, prawdopodobnie na łódce. Wygląda! wspaniale i Katherine czuła, że ogarnia ją coraz większe podniecenie. Zeszła z tarasu i zasunęła za sobą drzwi.

- Miły pokój. Przypomina salon twojej matki, jest tak samo przytulny i wygodny. - Zmieszła się nagle, spuściła więc oczy i utkwiała wzrok w podłodze.

Czuła jego obecność, jego bliskość. Scott uniósł jej podbródek i zmusił ją, aby spojrzała mu w oczy. Jego bliskość działała na nią jak narkotyk.

- Zdaje się, że intymne chwile wprawiają cię w zakłopotanie. - Jego głos brzmiał miękko i przyjaźnie. Nie kpił z niej ani nie wyśmiewał skrępowania i nieśmiałości, które próbowała ukryć. Patrzył wciąż na nią w taki sposób, że w końcu zaczęła drzeć. - Dlaczego tak jest?

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie, nie wiedziała nawet, czy chce odpowiedzieć. Scott próbo-

wał poznać jej uczucia i lęki, których przewycięzenie zabrało jej wiele lat. Kiedyś usiłowała je w sobie stłumić, ale w końcu nauczyła się z nimi żyć. Już jej nie przerażały. Rzadko czuła się zaskoczona albo nie wiedziała, co począć, ale Scott Blake miał talent do rozbijania pancerza ochronnego, który sobie stworzyła.

- Ja... - Uchyliła się od jego dotyku, odzyskując panowanie nad sobą. - Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. - Rzuciła mu promienny uśmiech. - Myślałam, że pójdziemy popływać?

Dzień był wyjątkowo ciepły. Zatoka San Francisco lśniła w promieniach słońca, a żagłówka mknęła po wodzie, prując fale. Przepłynęli pod Golden Gate Bridge i skierowali się ku otwartemu morzu. Katherine wciąż stanowiła dla Scotta zagadkę. Zdawał sobie sprawę, że nie tylko jej wygląd i niski głos pobudzają zmysły. Była inteligentna, zrównoważona i miała wspaniałe poczucie humoru. Czuł, że pociąga go jej bezpośredniość i oddanie sprawom, w które wierzyła. Zauważył też, że ukrywa nieśmiałość.

Katherine zdjęła buty, wyprostowała nogi i wyciągnęła się, opierając na łokciach. Miękka dzianina bluzki przylegała do ciała, nie kryjąc kształtów.

- Jaki piękny dzień, Scotcie! Wymarzony na pływanię!

Powiew wiatru rozwiązał jej włosy, a ciepłe promienie słońca padły na twarz, gdy ułożyła się wygodnie na plecach i zamknęła oczy. Krzyki mew zlewały się z szumem wiatru łopoczącego w żaglach. Ogarnęła ją błogość... W tej chwili czuła się w pełni szczęśliwa.

- Fortunę za twoje myśli. - Głos Scotta przerwał ciche marzenia. Katherine otworzyła oczy i przesłoniła je ręką, chroniąc przed promieniami słońca.

- Myślałam właśnie, że czuję się wspaniale. Dzięki tobie. Miałeś wyśmienity pomysł.

- Cieszę się, że jest ci ze mną dobrze.

Była już prawie piąta po południu, kiedy wrócili do przystani, żeby zacumować łódź. Oboje *mieli* ochotę jeszcze popływać, ale Katherine musiała wrócić do ośrodka i odebrać Jenny. Nie chciała zostawiać dziewczynki samej na noc. Skierowali się w stronę parkingu.

- Stąd mam już blisko do domu. Lepiej się pośpiesz, bo inaczej ugrzęzniesz w wieczornym korku. - Scott wsunął rękę przez otwarte okno i pogłodził ją po policzku. - Dziękuję, że zgodziłaś się tu przyjechać. To był wspaniały dzień.

- Ja też tak myślę. Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. - Poczują przyspieszone bicie serca, gdy dotkną jej twarzy.

Pochylił się i musnął jej wargi, a po chwili złączyli się w namiętym pocałunku.

Katherine poczuła się całkowicie zgubiona. Przewidywała, że ten moment nastąpi, lecz nie przewidziała swojej reakcji na pocałunek Scotta. Może raczej zdawała sobie sprawę, że to, co się teraz między nimi działo, musiało nastąpić; była to tylko kwestia czasu. Płonęła, rozpalona tym pocałunkiem. Bezwiednie wyciągnęła rękę i dotknęła policzka mężczyzny. Pragnęła Scotta Blake'a. Pragnęła go ciałem i duszą.

Miała miękkie i słodkie wargi. Scott próbował nie dopuścić do tego, co się stało, ale namiętność okazała się silniejsza. Od spotkania w windzie marzył, żeby ją pocałować i każde kolejne spotkanie tylko wzmagało to pragnienie. Czas ani miejsce nie były odpowiednie, ale Scott nie mógł już dłużej kryć swych uczuć. Kiedy oddała pocałunek, poczuł, że ogarnia go szal. Wsunął język między jej wargi i odkrywał krainę rozkoszy, która się przed nim otworzyła. Nie potrafili tego przerwać.

Katherine pierwsza się opamiętała. Odsunęła się powoli i niechętnie.

- Muszę jechać... po Jenny... naprawdę muszę już jechać... - W oczach Scotta, w tej chwili niemal zupełnie czarnych, ujrzała nieugaszone pragnienie.

-Wiem. - Miał lekko ochrypły głos. Pogłaskał ją po policzku i spojrzał głęboko w oczy. - Zjemy jutro razem kolację?

-Tak.

- Dobrze. Zadzwonię jutro po południu. Będziesz w ośrodku?

-Tak.

Scott spoglądał na jej samochód, gdy odjeżdżała, a gdy w końcu zniknęła za zakrętem, ruszył w stronę domu, pogrążony w rozmyśleniach na temat Katherine.

Każda myśl Katherine była poświęcona Scottowi. W zapamiętaniu nie potrafiła bronić się przed jego namiętnością. Kiedyś popełniła błąd, wybierając nieodpowiedniego mężczyznę. Czy tym razem mogła żywić nadzieję na emocjonalny związek, a nie tylko na fizyczną fascynację? Czy mogła ufać własnym uczuciom? I, co ważniejsze, czy mogła przełamać gorycz, jaką pozostawiło krótkie małżeństwo? Uśmiechnęła się do siebie, czując nagle wewnętrzny spokój. Nie była już dziewiętnastoletnią panienką, dużo się nauczyła, dojrzała i przewyciężyła wieje *problemów*. I wiedziała, że odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: tak.

Wróciła myślami do teraźniejszości. Kiedy odbierze Jenny, pojedą razem do dziadka. Miała mu do powiedzenia kilka słów na temat wywiadu, który kazał przeprowadzić. Czowała gniew, kiedy sobie o tym przypominała, ale równocześnie rozumiała przecież, dlaczego kazał to zrobić. Wiedziała, że tak właśnie okazywał jej swą miłość i troskę. Jej gniew powoli

mijał; nie potrafiła gniewać się na dziadka, niezależnie od tego, co zrobił. Ale zamierzała mu powiedzieć, jakie jest jej zdanie w tej sprawie.

- Kat! - krzyknęła Cheryl, gdy tylko Katherine zajechała przed ośrodek. - Sierżant Caswell chce z tobą porozmawiać.

- Panno Fairchild. - Sierżant Caswell zamknął notes. - Chyba wpadliśmy na trop Wandy i Toma. Mężczyzna odpowiadający jego rysopisowi zgłosił się na ostry dyżur do szpitala w drugiej części miasta. Lekarz zajął się nim i kazał przyjść jutro na sprawdzenie szwów i zmianę opatrunku.

Twarz Katherine rozjaśniła się.

- Świetnie. Myśli pan, że będzie ich można aresztować?

- Oczywiście. Próba kidnapingu to wystarczający powód, a jeśli prokurator będzie innego zdania, to pozostaje jeszcze sprawa wymuszenia pieniędzy.

- Dzięki Bogu. Jenny będzie wreszcie bezpieczna. Zabieram ją dziś na noc do siebie.

- Jest jeszcze druga sprawa, chodzi o Billy'ego Sanchez. Data rozprawy została już wyznaczona. - Sierżant przerzucił parę stron w notesie, po czym podniósł wzrok i zauważył pytające spojrzenie, jakie Katherine rzuciła w stronę Cheryl. Cheryl wzruszyła ramionami.

- Billy załatwia teraz dla mnie parę spraw. Dostał już pracę - odezwała się Katherine, zanim sierżant zdążył cokolwiek powiedzieć.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Ach, tak? A gdzie będzie pracował?

- Na budowie centrum handlowego w San Rafael. Jest zatrudniony w firmie Blake Construction.

- Czy można to u nich potwierdzić?

- Oczywiście. Scott Blake osobiście zatrudnił Billy'ego. Billy ma stawić się jutro w jego biurze.

Sierżant zanotował coś i zamknął notes.

- Jeśli o mnie chodzi, to wszystko. Dziękuję, pani Fairchild. Powiadomię panią o sytuacji Wandy i Toma. - Oficer wyszedł z budynku.

- Nie wiesz, gdzie jest Billy? - Katherine z niepokojem zwróciła się do Cheryl.

- Nie mam pojęcia. Może Lynn coś wie, rozmawiała z nim jako ostatnia. - Cheryl rzuciła okiem na zegarek. - Miała coś do załatwienia, ale powinna zaraz wrócić.

Katherine spakowała parę rzeczy dla Jenny i zniosła torbę na dół. Lynn właśnie wchodziła do budynku.

- Nie wiesz, co się stało z Billym? Sierżant Caswell pytał o niego. - Katherine podbiegła do niej, zaniepokojona.

- Załatwia swoje sprawy. Na noc wróci do ośrodka i będzie tu mieszkał, dopóki wszystko się nie wyjaśni.

- Wiele razy usiłowałam go do tego namówić. Jak tobie się to udało?

- To był jego pomysł. - Lynn ujrzała ulgę na twarzy Katherine.

- Skoro wszystko w porządku, zabieram Jenny do dziadka. To już prawie jej pora kolacji. - Katherine wyszła do drugiego pokoju, a po chwili wróciła z dziewczynką, która tuliła do siebie nowego misia.

Samochód Katherine zatrzymał się przed głównym wejściem domu R.J. Fairchilda. Carruthers otworzył drzwi i Katherine weszła do środka, trzymając Jenny za rękę.

- Dziadziu, to Jenny.

Dziewczynka schowała się za jej plecami i stamtąd zerkała na starszego pana. Katherine kucnęła i przytuliła małą do siebie.

- Możesz się przywitać z dziadkiem? - spytała łagodnie.

Jenny, bardzo niepewnie, zrobiła jeden krok na przód.

- Dzień dobry, Jenny. Cieszę się, że mnie odwiedziłaś. - Głos R.J. Fairchilda brzmiał tak łagodnie, jak nigdy dotąd. Jenny postąpiła jeszcze jeden krok do przodu, po czym obejrzała się. Katherine uśmiechnęła się do niej zachęcająco, więc dziewczynka powoli podeszła do wózka, wyciągnęła rączkę i klepnęła starszego pana po ramieniu.

Katherine poczuła łyzy pod powiekami, gdy dziadek podniósł dziewczynkę i posadził sobie na kolanach. Jenny cmoknęła go w policzek i zachichotała.

Starszy pan był po prostu wniebowzięty. Spuścił hamulec wózka i ruszył w stronę werandy.

- Jenny, pojedziemy teraz do ogrodu i obejrzymy śliczne kwiatki.

Otwarcie, z niewinnością właściwą jedynie dzieciom, Jenny zadała pytanie potężnemu patriarsze rodu Fairchildów:

- Umiesz robić śmieszne miny?

- Umiem robić zręczliwe miny. - Dziadek roześmiał się. - Ale śmiesznych chyba już dawno nie robiłem.

- Scott robi śmieszne miny.

- A kto to jest Scott?

- Mój przyjaciel.

Katherine obserwowała tę scenę z uczuciem prawdziwej radości, nagle jednak zdała sobie sprawę z gry, jaką prowadził R.J. Rzeczywiście! „Kto to jest Scott?” Stary wyga! Zaraz się dowie, że nie zdołał jej nabrać. Miała zamiar z nim o tym porozmawiać.

Po kolacji Jenny zasnęła na kanapie w gabinecie, a Katherine skorzystała z okazji, aby przeprowadzić rozmowę, która była głównym celem wizyty.

- Dziadku, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego

kazałeś przeprowadzić dochodzenie w sprawie Scotta Blake'a.

Wyraz zdumienia, którego nie zdołał ukryć, świadczył o tym, że zaskoczyła go całkowicie. Ucieszyła się; oznaczało to, że ma przewagę. Przynajmniej w tej chwili.

R.J. zignorował jej pytanie i wskazał na śpiącą Jenny.

- Co za cudowne dziecko! Rozumiem, dlaczego tak się do niej przywiązałaś.

- Nic z tego, mój drogi. Nie uda ci się wykręcić zmianą tematu. - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Jak mogłeś coś podobnego wymyślić, dziadziu? Czy wiesz, jak poczułby się Scott, gdyby dowiedział się, co zrobiłeś?

R.J. dostrzegł ból w oczach wnuczki i zrozumiał, że tym razem posunął się za daleko.

- Hm, Katherine... może rzeczywiście troszkę przekroczyłem granicę...

- Troszkę? Przekroczyłeś swe prawa, wtrąciłeś się w coś, co ciebie nie dotyczy, potraktowałaś mnie, jakbym była niewiele starsza od Jenny. Jak mogłeś tak postąpić? - Katherine prawie płakała.

Dziadek wiedział już, że przegrał. Mógł znieść wszystko, ale nie łązy Katherine, zwłaszcza gdy sam był ich przyczyną. Wziął jej dłoń w swoją rękę.

- Przepraszam. Chyba rzeczywiście za bardzo próbuję cię chronić. Ale po prostu nie chcę, żeby ktoś cię znowu skrzywdził. Przebaczysz mi?

Katherine zmiękała. Nie potrafiła się na niego długo gniewać.

- Wiesz, że tak. - Pocałowała go w policzek.

- Jeśli cię to pocieszy, według raportu Scott jest absolutnie czysty. Nie mam mu nic do zarzucenia.

- Uśmiechnął się do niej ufnie, z nadzieją, że taka wiadomość ją mimo wszystko ucieszy.

- Skoro już mówimy o raporcie, chcę dostać wszystkie kopie. W moich rękach będą bezpieczniejsze. - Patrzyła na dziadka, który niechętnie podjechał do biurka i wyjął teczkę. Na wierzchu dużymi literami napisane było nazwisko Scotta. Schowała teczkę do torby i pożegnała się z dziadkiem. Wzięła śpiącą Jenny na ręce i zaniósła do samochodu.

Zaczęła układać małą w gościnnym pokoju, ale się zawahała. Co będzie, gdy obudzi się w nocy, sama, w nieznanym miejscu? Na pewno się przestraszy. Katherine zaniósła ją na górę i ułożyła w swoim własnym łóżku. Wyjęła misia z torby i położyła obok Jenny. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie Scotta, kupującego zabawkę.

- Dobranoc, Jenny. Życzę ci, żeby przez całe życie śniły ci się tylko miłe rzeczy. - Pocałowała dziewczynkę w policzek, po czym zgasiła światło i wyszła z pokoju.

Wyjęła z torby teczkę, którą dał jej dziadek i zawahała się. Dziadek powiedział, że Scott jest absolutnie czysty, że nie ma mu nic do zarzucenia. Ciekawość zwyciężyła i Katherine zaczęła czytać. Ale w połowie pierwszej strony gwałtownie zamknęła teczkę i rzuciła ją na biurko.

Nie, nie będzie wtykać nosa w jego życie. Wiele lat, nie mówiąc o tysiącach dolarów wydanych na psychoanalitkę, zabrało jej odzyskanie poczucia własnej godności. Nauczyła się ufać własnym uczuciom i instynktowi, nauczyła się być silna. Nie pozwoli, by dawne poczucie niepewności i zagrożenia znów pojawiło się w jej życiu.

Wyszła na taras. Ogarnęło ją chłodne nocne powietrze. Wciąż miała na sobie szorty i podkoszulek, chociaż słońce zaszło już kilka godzin temu. Wolno sączyła wino z kieliszka, rozmyślając o wydarzeniach dnia; zaczął się od katastrofy, aby przynieść jej cudów-



ne popołudnie. Scott był wszystkim, czego potrzebowała, czego pragnęła. Przymknęła oczy i jego obraz pojawił się przed nią w pełnych barwach.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Scott wrócił do domu, a jakiś czas później przyjechała Lynn i oboje udali się do warsztatu, żeby odebrać jej samochód. Rozmawiali o wydarzeniach ostatniego ranka.

- Billy naprawdę cieszy się, że będzie u ciebie pracował. Nigdy się do tego nie przyzna, ale zdradzają go oczy, kiedy mówi na ten temat. Jaką mu dasz pracę?

- Skieruję go do Johna Barclaya. Rozmawiałem już z nim i zapoznałem z sytuacją. Zgodził się. Jest kierownikiem budowy i sam zdecyduje, *co Billy* ma dokładnie robić. Prosiłem, żeby nie opowiadał nikomu, dlaczego chłopiec został u nas zatrudniony.

- Jestem dumna z ciebie, kochanie. Postąpiłeś bardzo szlachetnie.

- Daj spokój, mamo, to przecież nic takiego. Chłopak miał ciężkie przejścia i zasługuje na to, żeby go normalnie traktować. Poza tym, niczego mu nie dają za darmo, będzie wynagradzany za normalną pracę, *jak cała reszta ekipy*.

Lynn wyciągnęła rękę i odgarnęła kosmyk włosów z czoła syna.

- Opaliłeś się dziś. Żeglowałeś?

- Tak, wyrwałem się na kilka godzin. Szkoda było zmarnować taki ładny dzień.

- Tak myślałam. - Lynn uśmiechnęła się chytrze. - To dlatego Katherine miała na sobie taki strój, kiedy przyjechała po Jenny.

Scott mruknął coś pod nosem, rzucił matce szybkie spojrzenie i w końcu zmusił się do uśmiechu.

- Chyba mogę mieć własne sprawy, prawda?  
- Ja nie jestem wścibska, kochanie. Po prostu obserwuję.

Scott usadowił się na kanapie w salonie z książką w rękę. Jednak po dziesięciu minutach zamknął ją i odłożył na bok. Nie potrafił się skoncentrować, gdyż z każdej kartki zdawała się ku niemu wychylać twarz Katherine. Widział jej błyszczące turkusowe oczy, delikatne rysy i cudowne usta. Zastanawiał się, jak to się stało, że ciągle jest sama, będąc tak czarującym połączeniem inteligencji, piękna i zmysłowości.

Scott przyjechał do biura z samego rana; czekało na niego sporo pracy, w związku z nieobecnością w poprzednim dniu. Kończył właśnie rozdzielać papiery, gdy usłyszał, że ktoś wszedł do recepcji.

- Billy, to ty?

- Tak. - Chłopiec wszedł powolnym krokiem. - A... więc tu pracujesz. - Rozejrzył się uważnie, po czym spojrzał na Scotta. - Siedzisz sobie i przekładasz papiery, co?

Scott stłumił uśmiech; Billy udawał nonszalancję, aby nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie uczyniło na nim to, co zobaczył.

- Czasem jeszcze chodzę na zebrania albo wpadam na budowę. Będiesz pracował w San Rafael, zaczynamy tam budować centrum handlowe. - Nagle przemknęła mu przez głowę pewna myśl. Spojrzał na chłopca uważnie. - Jak się tu dziś dostałeś?

- A co za różnica? Jestem przecież na czas.

- Autostopem, tak? - Scott nie spuszczał z niego wzroku.

- Tak, no i co z tego?

- Nie mogę pozwolić, żebyś robił to co dzień. Zresztą nie ma gwarancji, że zdążyłbyś zawsze do pracy. - Scott sięgnął do kieszeni i wyjął pięćdziesiąt dolarów. - Z Oakland kursuje autobus, a potem musisz złapać pociąg do San Rafael. Ciesz się, że nie mieszkasz w Los Angeles, mają tam taką komunikację, że dojazd zajmowałby ci pół dnia. Poza tym musisz mieć pieniądze na lunch. Nie możesz pracować cały dzień bez jedzenia.

- Nie biorę jałmużny.- Billy patrzył na Scotta wyzywająco. - Powiedziałem ci, że do pracy nie będę się spóźniał.

- Jałmużna? Nic podobnego. Oczekuję, że przy pierwszej wypłacie zwrócisz mi te pięćdziesiąt dolarów co do grosza. - Scott wsunął pieniądze chłopcu do kieszonki. - A teraz chodźmy, bo inaczej spóźnisz się od razu pierwszego dnia.

Przez długą chwilę Billy stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w podłogę. W końcu podniósł głowę, spojrzał na Scotta, po czym obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Nie musiał nic mówić, Scott wyczytał wszystko w jego spojrzeniu. Nikt nigdy nie traktował go w ten sposób i chłopiec nie wiedział, jak okazać wdzięczność.

W drodze na budowę Scott wyjaśnił mu, że ze wszystkim ma się zwracać do Johna Barclaya, który, jako jedyny, został wprowadzony w całą historię. Scott podrzucił chłopca do pracy, po czym wrócił do biura.

Katherine pośpiesznie szykowała śniadanie dla Jenny. Była zadowolona, że przeniosła dziewczynkę z gościnnego pokoju do swojej sypialni. Mała dwukrotnie

obudziła się w nocy, przerażona złym snem, ale Katherine była tuż obok i mogła ją uspokoić. Śniadanie było już gotowe, poszła więc do łazienki, żeby wyciągnąć dziewczynkę z wanny. Gdy zdmuchnęła bańki mydlane z jej rączki, mała roześmiała się. Katherine pomogła jej wyjść i wytarła do sucha. Jenny nie pozwoliła się jednak ubrać. Stwierdziła, że jest dużą dziewczynką i potrafi zrobić to sama. Katherine usiadła więc, obserwując, jak mała zмага się z koszulką i majteczkami.

Dzień biegł wyznaczonym trybem. Billy, początkowo nieswój i agresywny, zabrał się ostro do pracy. W porze lunchu przepadł gdzieś, ale wrócił na czas i pod koniec dnia John był z chłopca bardzo zadowolony; Billy pracował sumiennie i starał się ułożyć sobie dobre stosunki z resztą ekipy.

O siódmej Scott podjechał pod dom Katherine. Wcześniej zamówił stolik u Erniego i teraz przyjechał po nią, w nowym garniturze, podekscytowany tym, że spędzą razem cały wieczór, a potem... no, potem, to się jeszcze okaże.

- Cheryl! - Był zdumiony, gdy otworzyła mu drzwi.

- Zostanę, żeby zająć się Jenny. - Przywitała się z nim serdecznie i usunęła na bok, żeby mógł wejść do środka. - Tom i Wanda wciąż są na wolności i Katherine nie chce zostawiać małej na noc w ośrodku.

- Scott? - Głos Katherine dobiegł gdzieś z góry.

- Zaraz schodzę. Położę tylko Jenny do łóżka!

Zaraz potem dał się słyszeć cienki podniecony głosik:

- Scott, Scott! Chcę, żeby Scott mnie położył!

Cheryl zaśmiała się cicho, po czym wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że jesteś proszony. - Wskazała na schody. - Trzecie piętro.

Jenny podbiegła do drzwi, aby go przywitać.

- Scott... Scott!

Przyklękął, a dziewczynka śmiejąc się zarzuciła mu rączki na szyję. Podniósł ją i wstał, rozglądając się po pokoju. Sypialnia urządzona była ze smakiem i Scott odniósł wrażenie, że całe piętro stanowi jakby oddzielny obszar domu. Zauważył taras, drzwi do łazienki i jeszcze jedno, za którymi prawdopodobnie znajdował się pokój do pracy.

Przeniósł wreszcie wzrok na Katherine. Miała na sobie jedwabną turkusową sukienkę, tuż nad kolana, która znakomicie podkreślała kolor jej oczu. Lśniące czarne włosy upięła wysoko, tak jak przy ich pierwszym spotkaniu. Szyję okalał naszyjnik z diamentów, a na palcu lśnił pierścionek. Scott poczuł przyspieszone bicie serca.

Przeszedł przez pokój, ułożył Jenny w łóżku i otulił kołdrą.

- Chcę z wami iść. - Duże brązowe oczy patrzyły na niego błagalnie.

- Nie możesz dziś z nami pójść. Ale - spojrzał na Katherine - jutro jest sobota. Może wybierzemy się na piknik? Chcesz? - Właściwie nie bardzo wiedział, do kogo skierował to pytanie: do Katherine, czy do Jenny.

- Świetny pomysł. - Katherine przysiadła na brzegu łóżka i odgarnęła kosmyk złotych loków z buzi dziewczynki. - Masz ochotę, Jenny?

- Piknik, piknik! - Głos i twarz Jenny wyrażały ogromny entuzjizm.

- Dobrze, więc tak zrobimy. - Katherine pochyliła się i ucałowała dziewczynkę w policzek. - Bądź dziś grzeczna dla Cheryl.

- To było wyśmienite, Scotcie. - Katherine wzięła ostatni kęs do ust i odłożyła widelec.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Migotliwe światło świec tworzyło ruchome cienie na jej gładkiej twarzy. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, wyczytując z nich najskrytsze uczucia.

Czar prysnął, kiedy kelner sprzątnął talerze i spytał o deser. Oboje uznali, że zbyt się najedli, aby jeszcze coś zamawiać. Katherine zerknęła na zegarek.

- Naprawdę przykro mi, ale muszę wracać, żeby zwolnić Cheryl. Mąż na nią czeka.

Kiedy podjechali pod dom, Scott zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Objął Katherine i przyciągnął do siebie.

- Dziękuję, że poszłaś ze mną na kolację. - Przesunął palce po jej policzku i dotknął szyi.

Katherine uniosła ku niemu głowę, oczy jej błyszczały. Pochylił się i zaczął ją całować. Nikt nigdy nie przyprowadził jej o taki zawrót głowy, jak Scott w tej chwili. Objęła go i zanurzyła palce w jego gęstych włosach. Z pasją oddawała pocałunki, czując fale pożądania obejmujące ciało. Serce tłukło jej się w piersiach, oddech stawał się coraz szybszy. Usta Scotta były miękkie, zmysłowe i natarczywe. Ujął jej twarz w dłonie i spozrywał w oczy.

- Czuję się jak nastolatek kochający się w samochodzie. - Dotknął drżącymi palcami jej nabrzmiałych warg, westchnął cicho i wypuścił ją z uścisku.

Otworzył drzwi samochodu i pomógł jej wysiąść; Trzymając się za ręce poszli w stronę domu. Przy drzwiach Katherine odwróciła się ku niemu.

- Wstąpisz na drinka?

- Bardzo chętnie.

- Cheryl, wróciliśmy! - zawołała, gdy tylko weszli do pokoju wypoczynkowego.

Cheryl zeszła z ostatniego piętra.

- Sprawdzaliśmy, czy z Jenny wszystko w porządku. Obudziła się jakiś czas temu, znów miała zły sen.

Na twarzy Katherine odmalował się smutek. Potrząsnęła głową.

- Myślałam, że to się wreszcie skończy. Biedactwo, wciąż jeszcze nie czuje się bezpieczna i kochana. - Katherine zapatrzyła się przed siebie, nagle nieobecna i szepnęła: - Zastanawiam się, czy kiedykolwiek tak się poczuje. — Pamiętała, ile czasu upłynęło, zanim sama zaczęła spać spokojnie, zanim przestały ją nawiedzać nocne koszmary.

Gorycz, jaka zabrzmiała w jej głosie, przypomniała Scottowi chwilę, kiedy mówił o jej dzieciństwie. Nie wiedział, co ukrywała, ale cokolwiek to było, zranił ją wtedy głęboko.

- Lepiej już pójdę, zanim Dan zamknie mi drzwi przed nosem. - Cheryl sięgnęła po żakiet i torbę.

- Odprowadzę cię do samochodu, jest ciemno.

- Jest pan szalenie uprzejmy - Cheryl uśmiechnęła się - ale to doprawdy zbyt uczynne. Dobranoc. - Zeszła na dół i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Scott zdjął marynarkę, przerzucił ją przez oparcie krzesła, rozluźnił krawat i wreszcie usiadł.

Oczy Katherine błyszczały, kiedy na niego patrzyła.

- Czuj się jak u siebie. - Głos jej lekko drżał.

- Usiądziesz koło mnie? - Wygładził poduszkę i spozrywał na nią wzrokiem pełnym zachęty.

Drżała, idąc w jego stronę. Serce jak szalone tłukło jej się w piersiach.

Oboje czuli potęgę wzajemnego przyciągania, której żadne z nich nie potrafiło się oprzeć. Katherine poczuła zawrót głowy, gdy Scott ujął jej dłoń i przyciągnął ku sobie. Nic nie mówili; słowa nie były konieczne, wydawały się zbędne w nagłym szaleństwie, jakie ich ogarnęło. Jego usta przylgnęły do warg Katherine, jakby nie potrafiły nasycić się ich słodyczą.

- Mamo... mamoo... - Płacz Jenny rozległ się w całym domu

- Jenny! - Katherine poderwała się i wybiegła z pokoju. Jenny znów nawiedził zły sen, a Katherine dobrze wiedziała, co się wtedy czuje. Kiedy była dzieckiem, też budziła się z płaczem w środku nocy. Usiadła na brzegu łóżka i przytuliła dziewczynkę, kołyszając ją łagodnie w ramionach.

- Już dobrze, Jenny. Jestem przy tobie, nie bój się - przemawiała łagodnie.

Wszystko wydarzyło się tak nagle. Przed chwilą Scott trzymał w ramionach zmysłową kobietę, która przywodziła go do szaleństwa, teraz został sam. Stał w progu sypialni i patrzył na Katherine tulącą do siebie szlochające dziecko. Szeptała coś, nieświadoma jego obecności.

- Już dobrze, malutka. Jesteś bezpieczna, nikt cię nie skrzywdzi. - Ból na twarzy Katherine ustąpił nagle miejsca determinacji. - Wiem, co czujesz, kochanie. Wiem, że masz złe sny. Obiecuję, że nikt nigdy już cię nie skrzywdzi, nie pozwolę na to.

Scott czuł się wstrząśnięty słysząc te słowa, choć nie rozumiał, co naprawdę znaczyły. Życie Katherine przywodziło mu na myśl puzzle, których nie potrafił poskładać. Katherine wciąż kołysała Jenny, chociaż ta przestała płakać i wyglądała na to, że usnęła.

- Już dobrze?

Katherine drgnęła, przestraszona. Nie miała pojęcia, że Scott jest w pokoju i nie wiedziała, ile usłyszał.

- Tak, usnęła. - Okryła dziewczynkę kołdrą. Jenny wyglądała tak spokojnie i słodko, że cała poprzednia scena wydawała się nieprawdopodobna.

Scott wziął Katherine za rękę i wyprowadził z pokoju.

- Dobrze się czujesz?

- Ja? Oczywiście! - Pytanie zbiło ją z tropu, nie

wiedziała, dlaczego je zadał. Poczuła jego palce na podbródku; uniosł jej głowę i spojrział, jakby chciał przeniknąć do głębi całej jej istoty. Pocałował ją nagle, ale nie dziko i namiętnie, jak wcześniej, lecz miękko i z czułością.

- Jesteś wyjątkową kobietą, Katherine Fairchild. - Przez chwilę patrzył jej w oczy, jakby szukając odpowiedzi na nie zadane pytanie. - Przyjedź z Jenny do mnie jutro o wpół do jedenastej - powiedział w końcu. - Popłyniemy promem na Angel Island i tam urządzimy piknik.

- Dobrze.

Scott sięgnął po płaszcz. Czar i nastrój wieczoru prysły. Niechętnie zamknął za sobą drzwi.

Billy odłożył książkę.

- O rany, nie potrafię. To bez sensu.

- Potrafisz. - Lynn Blake spojrzała na niego surowo. - Musisz *się tylko przyłożyć*. Jesteś mądry, inaczej dawno byś trafił do poprawczaka. A teraz, *miody* człowieku - stuknęła w okładkę książki - wracaj do pracy.

- Mamo? - Głos Scotta dobiegł od drzwi wejściowych.

Billy błyskawicznie zgarnął książki ze stołu i wsunął je do szuflady.

- O rany! Co teraz? - Był najwyraźniej przerażony.

- Jestem w kuchni, kochanie - zawołała Lynn.

- Muszę pożyczyć... - Scott urwał, patrząc ze zdziwieniem na Billy'ego.

- Co pożyczyć?

- Czy ja nie przeszkadzam? - Scott zmarszczył czoło.

- Ależ skąd. Billy zaofiarował się, że pomoże mi załatwić parę spraw. Właśnie omawiamy szczegóły.

Scott spostrzegł wyraz ulgi, jaka odmalowała się na twarzy chłopca. Ponieważ Lynn zakończyła na tym wyjaśnienia, a Billy się nie odezwał, Scott postanowił nie wnikać, o co dokładnie chodzi.

- Muszę pożyczyć kosz. Jedziemy na piknik - powiedz mi patrząc w podłogę - no i do tego przydałby się odpowiedni prowiant.

- Prowiant na piknik? - Lynn spojrzała na syna z rozbawieniem. - A dla ilu osób?

- Dwóch... nie, trzech... właściwie dla dwóch dorosłych i jednego dziecka.

Nie tylko Lynn była rozbawiona sytuacją; Billy również najwyraźniej dobrze się bawił, widząc załopotanie Scotta.

Scott niósł koszyk, a Katherine trzymała Jenny za rękę, kiedy we trójkę wchodzili na pokład promu, który miał zawieźć ich do Parku Stanowego na Angel Island.

Scott patrzył na Katherine ubraną w stare, wypłowiałe dzinsy, podkoszulek oraz trampki i myślał, jak inna jest od tamtej kobiety, która pamiętnego ranka zjawiła się w jego biurze.

Wciąż nie mógł pojąć, że tak wiele już ich łączyło.

Przez długi czas próbował namówić matkę, aby częściej wychodziła z domu, proponował jej różne zajęcia. A teraz zaczęła pracować w ośrodku, i, jak mu powiedziała, praca ta dawała jej wielką satysfakcję. Billy został zatrudniony na budowie, a poza tym pomagał jego matce w załatwianiu jakichś tajemniczych spraw. Życie naprawdę niesie z sobą wiele niespodzianek!

Kiedy dotarli na miejsce, Scott rozłożył koc pod drzewem. Nie wzięli stolika, chcieli urządzić tradycyjny piknik na trawie. Po lunchu wybrali się na przechadzkę

wzdłuż porośniętej drzewami alei. Promienie słońca przedzierały się przez liście. Wiał lekki wietrzyk.

Scott i Katherine szli trzymając się za ręce, a Jenny co chwila wybiegała przed nich, chowała się za drzewami, po czym wyskakiwała z okrzykiem radości i znów biegła naprzód.

- Och, Scott, ona po raz pierwszy w życiu bawi się, biega i śmieje tak, jak inne dzieci. Zastanawiam się, jak ułoży się jej życie, gdy znajdzie prawdziwy dom i rodzinę, która ją pokocha.

- Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. - Scott ucałował dłoń Katherine. - Jenny ma przecież ciebie.

Katherine uśmiechnęła się, po czym oparła głowę na jego ramieniu i tak przytuleni poszli dalej. Po pewnym czasie Jenny zmęczyła się harcami wśród drzew. Scott wziął ją więc na ręce i niósł aż do miejsca, gdzie rozłożyli koc. Jenny już dawno spała. Owinął dziewczynkę pledem, po czym usiadł pod drzewem wyciągając nogi, a Katherine oparła się o niego plecami. Otoczył ją ramionami i przytulił policzek do jej głowy. Nic nie mówili, ciesząc się po prostu tą chwilą.

Tak dobrze jej było w ramionach Scotta. Wróciła myślą do poprzedniej nocy, rozmyślając o tym, co mogło się wydarzyć, gdyby nie złe sny Jenny. Po rozwodzie kilkakrotnie wiązała się z różnymi mężczyznami, ale żaden z tych związków nie łączył się z takim zaangażowaniem emocjonalnym.

Nie tylko Katherine rozmyślała o poprzedniej nocy. Scott również nie potrafił skoncentrować myśli na czym innym. Namiętne reakcje Katherine przeszły jego najśmielsze oczekiwania i nadzieje. Zdumiał się, uświadomiwszy sobie, jak szybko się to wszystko stało; poznali się przed tygodniem, a miał wrażenie, że znają się od lat. Jenny obudziła się po dwóch godzinach. Ani Katherine, ani Scott nie zauważyli tego jednak, po-

chłonięci pocałunkiem, który był naturalną konsekwencją narastającego w nich pożądania. Idylla została jednak przerwana, kiedy wesoły głosik zaszczebiotał:  
- Całujecie się! - Po czym nastąpił radosny chichot.

Katherine zgasiła światło i usiadła na brzegu łóżka, poprawiając kołdrę Jenny. Dziewczynka przeżyła długi dzień, pełen nowych wrażeń. Kiedy przypłynęli promem do Tiburon, Scott zabrał je na pizzę. Potem wszyscy razem wrócili do niego do domu, bo Katherine musiała zabrać samochód. Jenny ziewała, starając się ze wszystkich sił nie zasnąć, aby niczego nie przegapić.

Popołudnie utwierdziło Katherine w jej uczuciach do Scotta..Był jej jedynym pragnieniem. Życie zapełniło się nagle tym, o czym nawet nie śmiała marzyć; pojawił się w nim inteligentny, czuły mężczyzna, jego wspinała matka i dziecko, kochana mała dziewczynka, której była potrzebna.

Nikt dotąd tak naprawdę nie potrzebował Katherine. Nikt, poza jej dziadkiem, nigdy się o nią nie troszczył. Katherine siedziała na brzegu łóżka i patrzyła na śpiącą Jenny. Miała nadzieję, że złe sny nie wrócą tej nocy. Pocałowała dziewczynkę w policzek i wyszła z pokoju.

Katherine obudziła się na dźwięk telefonu. Rzuciła okiem na zegarek; było wpół do szóstej. Przez chwilę próbowała otrząsnąć się ze snu, erotycznego snu ze Scottem w roli głównej. Podniosła w końcu słuchawkę.

- Halo - powiedziała zachrypłym od snu głosem.  
- Panna Fairchild?

Nie miała pojęcia, z kim rozmawia. Natychmiast oprzytomniała.

- Kto mówi?  
- Sierżant Caswell. Panna Fairchild?  
- Tak, sierżancie. - Katherine ogarnął niepokój.  
- Co się stało?  
- Potrzebujemy kogoś do identyfikacji zwłok.  
- Słucham? - spytała drżącym głosem.  
- Chodzi o Toma i Wandę. Jechali do szpitala na zmianę opatrunku. Zostali rozpoznani przez jednego z naszych policjantów. Usiłowali uciec na motorze i mieli wypadek.

Katherine słuchała i czuła, że robi jej się niedobrze.  
- Oczywiście, sierżancie. Przyjadę natychmiast.  
- Odłożyła słuchawkę i przez chwilę stała bez ruchu, nie wiedząc, co właściwie powinna zrobić. Nie mogła zostawić Jenny samej, ale tym bardziej nie mogła jej zabrać ze sobą.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Scotta.

Ubrała się po cichu, żeby nie zbudzić Jenny. Nerwowo chodziła po kuchni. Wydawało jej się, że upłynęła wieczność, zanim usłyszała nadjeżdżający samochód. Podbiegła do drzwi.

- Lynn! - Zdumiała się na widok pani Blake.  
- Przywozłem mamę. Weźmie Jenny do siebie.  
- Scott całkowicie panował nad sytuacją.  
- O nic się nie martw. Zabiorę małą do ośrodka, jadąc do pracy. - Lynn uśmiechnęła się krzepiaćco.  
- Pokaż mi tylko, gdzie są jej rzeczy.  
- Naprawdę... - Katherine czuła się zakłopotana.  
- Ja pojadę z tobą, nie możesz tam być sama. - Scott o nic nie pytał, po prostu decydował. - A teraz pokaż mamie, gdzie są rzeczy Jenny.

Scott podjechał pod dom Katherine. Przez całą drogę z kostnicy nie odezwał się ani słowem. Weszli po schodach do pokoju i Katherine opadła na kanapę.

Była całkowicie oszołomiona. Scott siedział obok, przytulając ją do siebie, dając poczucie bezpieczeństwa. W końcu Katherine odezwała się, bardziej do siebie niż do niego.

- Przez cały czas, odkąd jest w ośrodku Jenny ani razu nie spytała, gdzie jest jej mama. Woła ją tylko w nocy, gdy śni jej się coś złego. - Katherine spojrzała na Scotta z przerażeniem. - Jak mam jej o tym powiedzieć? Jak mam jej powiedzieć, że już mgdy nie zobaczy swojej mamy?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pytanie Katherine pozostało bez odpowiedzi. Scott przytulił ją do siebie.

- Nie wiem. Nawet jeśli znajdziesz odpowiednie słowa, to czy myślisz, że ona zrozumie? Może lepiej poczekać? Daj czas, sobie i jej.

Katherine przycisnęła rękę, którą położył na jej ramieniu. Próbowwała przypomnieć sobie słowa skierowane do niej wiele lat temu, kiedy dowiedziała się, że matka mgdy nie wróci. Miała wtedy dziesięć lat, była więc dużo starsza niż Jenny. Dla trzyletniego dziecka śmierć jest pojęciem niezrozumiałym. Może Scott miał rację; może należało poczekać. Uścisnęła mocno jego dłoń i uśmiechnęła się smutno.

- Przykro mi, że zerwałam cię o tak wczesnej porze, ale naprawdę cieszę się, że pojechałeś ze mną.

- Dobrze, że mnie obudziłaś. - Pocałował ją w policzek i przez chwilę trzymał mocno w objęciach. - Już prawie pora lunchu. Nie wiem, jak ty, aleja dziś jeszcze nic nie jadłem, nawet nie piłem kawy. Może pójdziemy coś zjeść?

- A może sama coś przygotuję?

- Mądra, piękna i w dodatku umie gotować! Pani Fairchild, jak to się stało, że dotąd nikt pani nie porwał? - Wesoły uśmiech na twarzy Scotta zniknął, gdy napotkał jej spojrzenie. Dziewczyna najwyraźniej się wahała. - Katherine? Co się stało?

Nie odpowiedziała od razu.

Ktoś ją już kiedyś „porwał”; ktoś, kto potem zamienił się w zimnego, pozbawionego uczuć żigolaka. Katherine otrząsnęła się; nie chciała o tym mówić.



- Nic się nie stało. Myślę tylko, że nie powinieneś przedwcześnie wydawać opinii o moim gotowaniu.  
 - Roześmiała się. - Może cię spotkać rozczarowanie  
 - dodała, idąc już w stronę schodów, po czym zbiegła na dół.

Scott poszedł za nią. Znowu to samo; Katherine coś ukrywała.

Po jedzeniu wrócili na górę. Katherine włączyła płytę, a Scott zabrał się do rozpalania ognia.

- Wygląda na to, że będzie padać. Przy takiej pogodzie nie ma nic miłszego niż ogień buzujący w kominku.

Po kilku minutach płomienie tańczyły już wesoło, wznosząc się w górę, a drewno trzaskało.

Katherine otoczyła ramionami szyję Scotta, wspięła się na palce i musnęła ustami jego wargi.

- Jesteś uroczym człowiekiem.

Spojrzał na nią zdumiony i rzucił kpiąco:

- Pani Fairchild, coś mi się wydaje, że właśnie próbuje mnie pani uwieść. - Oddychał coraz szybciej, gdy poczuł, że zanurzyła palce w jego włosach.

Jeszcze raz dotknęła ustami warg Scotta i odpowiedziała tym samym tonem:

- Panie Blake, co też panu przychodzi do głowy!

- Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, w końcu Scott chwycił jej dłoń i przycisnął kurczowo do siebie.

- Nie zaczynaj tego, czego nie będziesz chciała dokończyć. - Jego głos brzmiał ochryple i namiętnie.

- Chciałam tego już w piątek - szepnęła. - I wciąż chcę.

Poczuła, że objął ją mocniej.

- Och, Katherine, tak bardzo chcę się z tobą kochać.

- Trzymał ją w objęciach przez długą chwilę, a potem przycisnął usta do jej warg.

Niczego innego nie pragnęła bardziej. Odpowiadała na jego pocałunki, drżała, czując jego ręce na swoich plecach i ramionach, ogarniało ją szaleństwo. Nagle Scott porwał ją na ręce i zaniósł po schodach do sypialni. Po drodze Katherine rozpinęła guziki jego koszuli. Delikatnie położył ją na podłodze koło łóżka i ujął jej twarz w dłonie.

W oczach Scotta płonął ogień pożądania. Czy mogła mieć nadzieję, że jest to także ogień miłości? Znow złączyli się w namiętym pocałunku.

Powoli i zmysłowo rozebrali się nawzajem. Scott położył ją na łóżku, po czym wyciągnął się obok. Delikatnie przesunął dłoń wzdłuż jej ciała, aż dotarł do pełnej piersi.

- Jesteś taka śliczna, chciałbym, żeby ci było dobrze.

Każdy dotyk jego palców czy ust rozbudzał w niej żądę. Katherine oplótła go ramionami, błędząc palcami po szerokich ramionach i silnych plecach. Język Scotta dotknął zagłębienia między piersiami, pod delikatnymi ruchami jego palców przeżyły się sutki. Wstrząsnęły nią fale pożądania, jęknęła, gdy wargi mężczyzny zacisnęły się na jednej z brodawek. Jego usta były nie nasycone. Okazał się wyśmienitym kochankiem, wyczuwał, kiedy i gdzie jej dotknąć, jak pobudzać zmysły, aby mogła osiągnąć pełnię rozkoszy. Nic już nie było ważne, nic oprócz Scotta i cudownych rzeczy, które z nią robił. Nie miała żadnych wątpliwości, kochała go, kochała całą swą istotą. I zawsze już chciała z nim być.

Ręka Scotta delikatnie przesunęła się wzdłuż jej biodra i dotarła do puszystego wzniesienia. Czuł jej ^ drzenie, gdy wsunął dłoń między uda. Usłyszał jęk rozkoszy i to podnieciło go jeszcze bardziej. Obrócił ją i posadził na sobie. Poczuł swój przyspieszony oddech, gdy przylgnęła piersiami do jego ciała. Uosabiała wszystko, o czym kiedykolwiek marzył. Pragnął ją

posiąć i chciał, aby ona posiadała jego. I aby trwało to wiecznie.

- Powinieniem był cię spytać wcześniej... - Z trudem wymawiał słowa. - Czy możemy? Jesteś zabezpieczona?

- Tak. - Poczowała jego nabrzmiałą męskość na swoim brzuchu.

Znów przewrócił ją na plecy. Zadrżała, gdy przesunął rękę w dół brzucha i w końcu wszedł między wilgotne płatki jej kobiecości.

- Och, Scott...

Złączył usta z jej wargami, nie pozwalając dokończyć. Usłyszał jej przyspieszony oddech, gdy ich ciała połączyły się w jedno. Poruszali się powoli, w odwiecznym rytmie i całkowitej harmonii i każde z nich wznosiło się na szczyty ekstazy. Sięgnął wargami do jej ust, dostosowując ruchy języka do rytmu, z jakim poruszały się biodra.

Katherine przyciskała go mocno do siebie. Miała wrażenie, że unosi się w przestworzach. Nigdy jeszcze nie czuła nic podobnego. Scott stanowił centrum wszechświata, a ona bujała na krawędzi otchłani.

Ciałem mężczyzny wstrząsnął ostatni spazm. Położył głowę na jej ramieniu i oddychał głęboko. Ich ciała lśniły od potu, kiedy leżeli koło siebie. Scott powoli odzyskiwał normalny oddech. Odsunął włosy z jej twarzy i musnął wargami usta. Katherine czuła, że jej serce bije już normalnym rytmem. Bliskość Scotta, jego dotyk napełniały ją szczęściem. Nigdy jeszcze nie czuła takiej euforii.

Wciąż trzymał ją w objęciach, rozkoszując się dotykiem miękkiego ciała, upajając bliskością. Żadna kobieta nie obdarzyła go czymś tak wspaniałym.

Leżeli spleceni w uścisku. Wymieniali szeptami kochanków, dotykali swych ciał w zmysłowym upojeniu, śmiali się i czule całowali. Ciepło i bliskość łączyły się z cichą zadumą.

- Wyjedźmy razem na weekend. Znajdziemy jakiś romantyczny zakątek na wybrzeżu. - Słowa Scotta wyszeptane prosto do ucha przyprawiły ją o drżenie. Poczwała, że znów ogarnia ją fala podniecenia.

- Zapomniałeś o aukcji. Czasu jest coraz mniej, a pracy coraz więcej.

Scott zmarszczył czoło.

- To jeszcze nie w tym tygodniu, prawda?

- Nie, dopiero za trzy tygodnie, ale jest jeszcze tyle do zrobienia! W najbliższy piątek odbędzie się konferencja prasowa, a potem już całkowicie pochłoną mnie ostatnie przygotowania.

Pocałował ją w policzek i uśmiechnął się.

- Będzie ci potrzebny odpoczynek, aby nabrać sił i odprężyć się przed ciężką pracą.

Katherine obserwowała jego twarz i pełne pożądania spojrzenie.

- Najbliższy weekend odpada. - Zawahała się. - Istnieje inna możliwość?

- A może za dwa tygodnie? - Pocałował ją w kącik ust. - Między konferencją a samą aukcją?

Odpowiedziała prawie szeptem, przesuwając palec po jego wargach. Wiedziała, że nie powinna się zgodzić, że przyjmując propozycję zachowuje się nieodpowiedzialnie. I wiedziała, że właśnie tego pragnie najbardziej.

- Chcę tego... chcę tego tak bardzo.

Scott dotarł do biura wcześniej rano, gotów stawić czoło wszystkim kłopotom, jakie mógł przynieść dzień. Został u Katherine prawie do piątej, potem na chwilę wpadł do domu, żeby się przebrać. Wspominał nieustannie upojne chwile, jakie spędzili razem.

Jego myśli przerwał dźwięk intercomu.

- Tak, Amelio?

- Dzwoni Liz Torance w sprawie aukcji.

Scott rozmawiał z Liz prawie pół godziny i przedstawił jej szczegółowy program randki. Aukcja miała się odbyć za niecałe trzy tygodnie i przygotowania stawały się coraz bardziej gorączkowe.

Później zabrał się do pracy. Musiał przejrzeć plany budowy i projekt dwudziestopiętrowego biurowca. Projekt ten złożył George Weddington, architekt, który przez wiele lat współpracował z ojcem Scotta. Scott pozostawał z nim w bliskich stosunkach, które opierały się na wzajemnym szacunku i zamiłowaniu do perfekcji. Odsunął od siebie wszystkie inne myśli i skoncentrował się na pracy.

Katherine również czekał pracowity dzień; rano spotkanie w sprawie gromadzenia i podziału funduszy, a po południu drugie, dotyczące samej aukcji. Poczują falę ciepła na wspomnienie chwil spędzonych ze Scottem. Po raz pierwszy w życiu radośnie patrzyła w przyszłość. Wzięła z biurka trzy pliki akt i wsunęła do teczki. Już wychodząc, zawróciła i wsunęła do szuflady wszystkie papiery, które leżały na biurku.

Gdy przyjechała do Hyatt, Liz przedstawiła jej listę wszystkich piętnastu kawalerów i ich randkowe propozycje. Mogła wreszcie zapoznać się z planami Scotta, bo sam nie chciał jej nic powiedzieć. Proponował spędzenie weekendu w Yosemite National Park, cztery godziny drogi od San Francisco. Zamówił już dwa pokoje w luksusowym hotelu w Dolinie Yosemite. Program podkreślał walory przyrodnicze tego miejsca, a wyjazd miał się odbyć w pierwszym tygodniu listopada.

W czasie porannej narady, kiedy omawiali podział funduszy na następny rok, Jim Dalton zauważył, że Katherine wygląda promiennie. Po zebraniu Liz wy-

szała do miasta załatwić parę spraw, a Jim z Katherine wybierali się na lunch.

- Lynn, jesteśmy tutaj! - Katherine ujrzała panią Blake wysiadającą z windy. Lynn obiecała pomóc w organizacji aukcji i przyjęcia, które miało odbyć się bezpośrednio po licytacji.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam.

- Nie, jesteś w samą porę. Chciałam ci przedstawić Jima Daltona. Jim, to jest Lynn Blake. Lynn uczyła dawniej w szkole i zgodziła się zrezygnować ze spokojnego życia w zaciszu domowym, żeby pomóc Cheryl w naszym ośrodku opiekuńczym. Tak się składa, że jest również matką jednego z naszych kawalerów.

- Katherine zwróciła się z kolei ku Lynn. - Jim jest członkiem komitetu zbierającego fundusze i wchodzi w skład rady nadzorczej naszego stowarzyszenia. Pracuje z nami od początku i jest niezastąpiony.

Śmiech Jima przerwał ten potok słów.

- Tak, a niebawem zamierzam zgłosić swoją kandydaturę na stanowisko świętego. - Wyciągnął rękę.

- Miło cię poznać, Lynn. Katherine opowiadała o tobie dużo dobrego.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Lynn odwzajemniła uśmiech.

- No, drogie panie, może wyskoczylibyśmy na lunch? - Jim poprowadził je w stronę wyjścia.

Katherine była bardzo z siebie zadowolona. Nie znosiła swatania, od lat musiała znosić próby, jakie w tej dziedzinie podejmowali jej przyjaciele, ale naprawdę wierzyła, że Jim Dalton i Lynn Blake mają ze sobą wiele wspólnego. Kiedy okazało się, że powinni zatrudnić dodatkową osobę przy organizacji aukcji, natychmiast zaproponowała kandydaturę Lynn i bardzo się ucieszyła, gdy ta przyjęła propozycję. Lunch okazał się bardziej interesujący, niż Katherine mogła przypuszczać. Lynn i Jim błyskawicznie znaleźli wspó-

Iny język. Jim raczył obie panie historyjkami i anegdotkami z lat „szaleńczej młodości”, jak ją określał. Tak, Katherine była z siebie bardzo zadowolona.

Popołudniowe spotkanie w całości zajęły sprawy służbowe. Lynn przedstawiła kilka ciekawych propozycji, komitet pracował efektywnie. Po spotkaniu Katherine udała się prosto do Oakland. W chwili gdy przestąpiła próg ośrodka, Jenny była już u jej boku, wzięła więc małą na ręce, ale dziewczynka rozglądała się, jakby szukając czegoś lub kogoś.

- O co chodzi, Jenny? - Katherine ucałowała ją i przyglądała niesforne loki.

- Gdzie jest Scott?

- Nie mógł przyjechać, jest teraz w pracy.

Dziewczynka tak się kręciła, że Katherine musiały ją w końcu wypuścić z objęć.

Cheryl obserwowała je z wesołym błyskiem w oku.

- Jenny opowiadała nam o pikniku.

- Oni się całowali. - Dziewczynka zachichotała.

Katherine zaczerwieniła się. Rozbawione spojrzenia pozostałych pracowników nie dodawały jej odwagi.

Kiedy mała wyszła z pokoju, Katherine zwróciła się do Cheryl:

- Wiesz, co się wczoraj stało? - spytała cicho.

- Tak, domyśliłam się, że coś jest nie tak, gdy tylko zobaczyłam Lynn przywożącą Jenny. Sierżant Caswell dzwonił dziś rano i wszystko potwierdził. - Cheryl zawahała się. - Co teraz będzie?

- Chyba... - Głos Katherine zadrżał. - Chyba musimy znaleźć jakąś miłą rodzinę, która zechce ją adoptować. - Na jej twarzy pojawił się wyraz zdecydowania. - Nie chcę, żeby błąkała się po domach dziecka, chcę, żeby miała prawdziwy dom.

- A twój dom? - Cheryl spojrzała na nią uważnie.

Katherine wytrzymała przez chwilę jej wzrok, ale w końcu spuściła głowę i nie odpowiedziała. Jenny

potrzebowała czegoś więcej niż miejsca do spania. Potrzebowała domu i rodziny - ojca i matki, ogrodu, gdzie mogłaby się bawić...

Scott późno wyszedł z biura, długo pracował nad szczegółami projektu biurowca. Kiedy jechał przez Golden Gate Bridge, jego myśli krążyły wokół Katherine Fairchild. Zdarzało mu się to coraz częściej. Podjechał pod dom i zdumiony ujrzał Billy'ego, który siedział na tarasie.

- Billy! Co ty tu robisz? - Scott otworzył drzwi i wysiadł pośpiesznie.

Chłopiec, najwyraźniej zakłopotany, nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Scott czekał na odpowiedź; czuł, że coś się stało.

- Chodźmy do środka. - Otworzył drzwi.

Kiedy weszli, Billy natychmiast osunął się na krzesło.

- O co chodzi?

- Są kłopoty na budowie. - Billy kręcił się na krześle, nerwowo rozglądając się po pokoju.

- Jakie kłopoty? Pracujesz zbyt krótko, żeby wiedzieć o czymś, o czym ja bym nie wiedział.

Billy poczuł się urażony.

- Człowieku, mam oczy i patrzę. - Spojrzał na Scotta, ale nie znalazł w jego wzroku wyrzutu ani krytyki. Uspokoił się.

- Dobrze, powiedz mi, co widziałeś.

Billy wstał i przeszedł się po pokoju, przystanął w końcu przy tarasie wychodzącym na zatokę.

- Fajny widok. Taki jak u twojej starej, to znaczy u twojej mamy.

- Dzięki. Nie odbiegajmy od tematu.

- Paru facetów szprycuje się na budowie.

Scott był zawsze konsekwentny. Każdy złapany w pracy na picciu czy narkotyzowaniu się, był natych-

miast zwalniany. Wszyscy, których zatrudniał, znali tę zasadę.

- Jesteś pewien?

- Jasne, że jestem. - Billy zdenerwował się. - W dodatku kradną materiały; nic wielkiego, przynajmniej na razie.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nie mówiłem nikomu, więc tylko ty.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego Johnowi Barclayowi? Jest szefem budowy.

- Przecież nic o nim nie wiem. Też może być w to zamieszany. - Billy przerwał, jakby zbierał myśli. Ta rozmowa była dla niego bardzo trudna. Patrzył na Scotta przez długą chwilę, po czym odezwał się, już spokojniej: - Nie jestem kapusiem. Nie wsadzam nosa w ich sprawy, ale okradają ciebie i mogą spartaczyć robotę. Oddałeś mi przysługę, chcę się odwzajemnić, to wszystko. - Skierował się w stronę drzwi. - Muszę już iść.

- Czekaj. Kim oni są? Znasz ich nazwiska?

- Powiedziałem już wszystko. Jeśli ufasz Johnowi, to każ mu się dowiedzieć. To nietrudne, jeśli będzie miał oczy otwarte. - Billy zamknął drzwi.

Scott siedział przez kilka minut bez ruchu w całkowitej ciszy. Potem wstał i podszedł do telefonu.

- Aha, John, i kiedy już ich złapiemy, to pamiętaj, żeby nie wplątać w nic Billy'ego. Powiedz im, że ich obserwowałeś. Wiem, że trudno jest mieć na wszystko oko na tak dużej budowie, ale z samego rana zacznij inwentaryzację. Trzeba dokładnie ustalić, co zginęło. - Słuchał przez chwilę słów Johna, po czym powiedział: - Dobrze, masz rację, tak będzie lepiej. Inwentaryzację zrobi ktoś z zewnątrz, powiem, że chodzi o roczne rozliczenie. - Po skończonej rozmowie Scott przygotował sobie kolację. Jedząc, myślał o Katherine i nadchodzącym weekendzie. Wy-

kręcił numer telefonu, ale odezwała się automatyczna sekretarka.

Katherine nalała wina do dwóch kieliszków; dla dziadka i dla siebie.

- Tak bardzo mi jej żal, dziadziu. Ma dopiero trzy lata, a przeszła już więcej, niż niektórzy ludzie w ciągu całego życia. Ona potrzebuje domu i rodziny. - Katherine próbowała zapanować nad głosem i powstrzymać łzy napływające do oczu. - Czasem czuję się zupełnie bezsilna. Tak bym chciała dla niej wszystkiego, co najlepsze.

R.J. uważnie patrzył na wnuczkę.

- Czujesz się z nią blisko związana, prawda?

- Tak. I chciałabym uchronić ją przed popełnieniem tych błędów, które ja popełniłam. Nie chcę, żeby przez pół życia dręczyło ją pytanie, co złego zrobiła, że matka jej nie kochała. Nie chcę, żeby winiła się za jej śmierć.

I nie chcę, żeby była tak spragniona miłości, że wyjdzie kiedyś za pierwszego faceta, który zwróci na nią uwagę. A potem okaże się, że wszystko, czego chciał, to część majątku rodzowego, że sypiał z każdą dziewczyną, która mu się nawinęła, nie wyłączając najlepszej przyjaciółki swej żony, że pysznił się swą niewiernością i za odpowiednio wysokie wynagrodzenie zgodził się na cichy rozwód, bez skandalu, myślała.

Poczuła dreszcz przebiegający *po* plecach i pierwszą łzę toczącą się po policzku. Zrobiłaby wszystko, żeby ochronić Jenny przed tym wszystkim, czego sama zaznała. Pragnęła, aby dziewczynka wiedziała, że ktoś ją kocha i troszczy się o nią.

Było już późno, gdy dotarła do domu - Włączyła taśmę; nagrana była tylko jedna wiadomość. Natychmiast rozpoznała lekko kpiący głos Scotta.

- Uwaga, to jest nieprzyzwoity telefon. Skoro nie mogę teraz z tobą porozmawiać, będę musiał zadowolić się szybszym oddychaniem. - Katherine roześmiała się na głos, słysząc jego przesadne posapywanie. - Jeśli uznasz, że działa to na ciebie choć trochę pobudzająco, zadzwoń do mnie rano. Może uda się zorganizować wieczorem coś nieprzyzwoitego? Jestem nawet gotów postawić ci przedtem kolację. - Nastała cisza, a po chwili znów dał się słyszeć głos Scotta, tym razem miękki i czuły: - Dobranoc, Katherine, ja... - Zdanie nagle się urwało.

Wyłączyła aparat. Oczy jej jaśniały szczęściem.

- Dobranoc, Scott. Kocham cię.

Katherine i Scott wyszli z niewielkiej włoskiej restauracji usytuowanej na obszarze North Beach. Przytuleni, szli w stronę samochodu. Cieszyli się swoją bliskością i żadne słowa nie były im potrzebne.

Obróciła się ku niemu, gdy zaparkował przed jej domem.

- Wstąpisz na kawę?

Scott pogładził ją po policzku.

- Naprawdę myślałaś, że powinnaś zapytać? - Musnął wargami jej usta i otworzył drzwi. Trzymając się za rękę, ruszyli w stronę domu.

Gdy tylko znaleźli się w kuchni, Scott wziął ją w ramiona. Jego głos drżał z podniecenia.

- Tak naprawdę, to nie mam ochoty na kawę.

- Ja też nie - szepnęła.

Wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni. Zatrzymali się koło łóżka. Scott ujął jej twarz w dłonie i patrzył długo w oczy.

- Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty. Nie myślałem, że ktoś taki może istnieć. - Pocałował ją namiętnie.

Katherine leżała w jego objęciach i oboje rozkoszowali się błogą chwilą po spełnieniu. Kochali się namiętnie, ogarnięci absolutnym szaleństwem. Nigdy wcześniej Katherine nie doświadczyła tak głębokich uczuć i tak ekstatycznego spełnienia.

Scott pocałował ją delikatnie.

- Rano jadę do Los Angeles - powiedział miękko, jego dłoń delikatnie gładziła jej brzuch. - Wracam w czwartek w nocy. Zjedz ze mną kolację w piątek, dobrze? - Błądził palcami po wewnętrznej części jej uda, równocześnie całując usta. Nagle poczuł dłoń Katherine na swoim podbrzuszu.

W środę i czwartek Katherine pochłonięta była pracą związaną z kampanią reklamową, która towarzyszyć miała aukcji kawalerów. Informacje prasowe już się ukazały, a konferencję zaplanowano na piątkowe popołudnie.

W czwartek rano udała się do sądu razem z Billym i Bobem Templetonem. Tak jak przewidywał Bob, ze względu na okoliczności wydarzenia i świadectwo pracy wystawione przez Johna Barclaya, chłopiec dostał jedynie trzy miesiące kurateli i cała historia została potraktowana jako młodzieńczy wybryk. Wyglądało na to, że wszystko zaczyna się układać i Katherine była bardzo zadowolona.

W piątek rano Scott zjawił się na budowie w San Rafael. Przez pół godziny rozmawiał z Johnem, który od poniedziałku obserwował uważnie wszystkich pracowników. We wtorek po południu znalazł winnych. Dwaj mężczyźni, pracujący z dala od reszty załogi, kilka razy w ciągu dnia wstrzykiwali sobie heroinę. W środę rano specjalna ekipa wkroczyła na teren budowy i rozpoczęła inwentaryzację.

Scott i John szybkim krokiem ruszyli przez plac

budowy. Nie bawiąc się w uprzejmości, Scott powiadomił obu robotników, że są zwolnieni. Zgodnie z regulaminem firmy wręczył im pisemne wypowiedzenia, w których wyraźnie stwierdzono powód rozwiązania umowy o pracę.

- Nasi adwokaci skontaktują się z policją. Niewykluczone, że po zakończeniu inwentaryzacji zostanie złożone oskarżenie - dodał Scott, po czym obaj robotnicy zostali wyprowadzeni z terenu budowy. Nie stawiali oporu ani nie protestowali; byli zbyt przerażeni.

John odprowadził Scotta do samochodu. Zastanawiał się przez chwilę, gdy Scott spytał go, jak się sprawuje Billy.

- Jest sumienny - odpowiedział w końcu. - Z nikim się nie zadaje, nie przysparza żadnych kłopotów... Tyle tylko, że znika każdego dnia w porze lunchu. Co prawda, zawsze wraca na czas, ale nie mam pojęcia, dokąd chodzi ani po co. I jeszcze jedno; pierwszego dnia pytał wszystkich, czy ktoś mógłby codziennie po pracy podrzucić go do Tiburon.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W drodze z budowy Scott zatrzymał się na chwilę w domu. Musiał się przebrać w garnitur przed konferencją prasową, zorganizowaną w związku z aukcją kawalerów w Hyatt Regency. Jego myśli krążyły wokół Katherine. Tęsknił za nią i był zdumiony siłą tej tęsknoty, zważywszy, że minęły dopiero dwa dni, odkąd widzieli się po raz ostatni.

Przy mikrofonie zasiadła Liz, Katherine natomiast pozostawała na uboczu. Scotta zaskoczyła liczba dziennikarzy i fotografów; nie sądził, że podobne wydarzenie może cieszyć się aż takim zainteresowaniem. Sam źle się czuł wśród kamer i ciekawych wszystkiego dziennikarzy.

Zirykowało go zwłaszcza pytanie na temat osobistych stosunków łączących go z Katherine Fairchild. Widziano ich razem na kolacji i oczywiście zaczęły krążyć plotki. Scott starał się zachować taktownie, udzielając wymijającej odpowiedzi.

Rozluźnił krawat, gdy razem z Katherine wychodził z budynku.

- Cieszę się, że to już koniec. Nie rozumiem, jak możesz się pogodzić z ciągłym wystawianiem twego życia na widok publiczny.

- Można się przyzwyczaić. - Westchnęła. - Chodzi tylko o to, żeby nie pozwolić kontrolować swego życia. - Wróciła myślą do konferencji. Zauważyła skrupowanie Scotta, zwłaszcza gdy pytania skoncentrowały się wokół łączących ich stosunków. Zadrżała na myśl, że

ciągłe zainteresowanie dziennikarzy, które jej towarzyszy, może coś między nimi zepsuć.

Razem pojechali na kolację. Scott odkrył uroczą francuską restaurację położoną na uboczu, gdzie, miał nadzieję, nikt ich nie rozpozna. Spędzili tam dwie godziny w cudownej atmosferze. Katherine nigdy nie czuła się tak szczęśliwa jak wówczas, gdy była ze Scottem.

- Masz plany na jutro? - Scott wziął ją za rękę, gdy szli w stronę samochodu.

- Obiecałam Jenny, że wybierzemy się do zoo. Może pójdziesz z nami?

Na dworze było zimno. Katherine pomogła małej włożyć kurtkę i poszły razem do samochodu. Dziewczynka była tak podniecona, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Od chwili gdy zabrali ją z ośrodka, buzia jej się nie zamykała.

Szeroko otwartymi oczami, z ciekawością i przerażeniem, patrzyła na żyrafy. Śmiała się i klaskała w ręce, obserwując popisy małp. Duży kotek, duży kotek, powtarzała w kółko na widok lwa. Wszystko było nowe, nieznanne, wspaniałe.

Patrząc na Katherine, Scott pomyślał, że jest chyba tak samo podniecona jak Jenny. Zaczęło go ogarniać wielkie zadowolenie. Idąc między Katherine a Jenny, która z taką radością odkrywała nieznany jej dotąd świat, poczuł, że puste miejsce w jego życiu zaczęło się wypełniać.

- To był bardzo intensywny dzień. - Katherine otuliła Jenny kołdrą w gościnnym pokoju i wróciła do Scotta. - Mała natychmiast zasnęła, padła ze zmęczenia.

- Nie miałabyś ochoty teraz mnie otulić kołderką? Oczywiście, muszę cię uprzedzić, że raczej nie zasną od razu. Nie padam ze zmęczenia... na razie.

Katherine próbowała powstrzymać uśmiech. Przytuliła się do Scotta i poczuła ciepło rozlewające się po całym ciele, gdy otoczył ją ramionami i przytulił mocniej do siebie. Położyła dłoń na jego ręce i oparła głowę o ramię. Stali bez ruchu, ciesząc się tą cichą chwilą bliskości.

- Mamo... mamo! - Krzyk Jenny przerwał ciszę.

Katherine wyrwała się z ramion Scotta i pobiegła do gościnnego pokoju; mała znowu miała zły sen.

- Jenny, kochanie, już dobrze, jestem przy tobie. - Chwyliła dziewczynkę w ramiona i zaczęła delikatnie kołysać.

Między jednym szlochem a drugim, Jenny po raz pierwszy zadała pytanie, to pytanie, na które Katherine musiała jej kiedyś odpowiedzieć:

- Gdzie jest mama?

Katherine poczuła suchość w gardle. Obawiała się tej chwili, w której będzie musiała powiedzieć Jenny, co się stało. Cheryl zaproponowała, że podejmie się tego zadania, może nawet lepiej by sobie poradziła, ale Katherine czuła, że jest to jej obowiązek. Otarła łzy z policzka Jenny i przygładziła jasne loki. Duże brązowe oczy, w których kryła się niewinność i przerażenie, patrzyły prosto na nią.

- Jenny, kochanie... twoja mamusia... - Rozpaczliwie usiłowała przypomnieć sobie słowa, jakich użył dziadek dwadzieścia lat temu. Katherine zadała to pytanie ojcu, ale on nie wiedział, co odpowiedzieć, więc dziadek postanowił wziąć na siebie odpowiedzialność. Miała dziesięć lat, gdy poznała prawdę, Jenny miała trzy lata. Katherine nie wiedziała, ile dziewczynka zrozumie, ale wiedziała, że musi spróbować.

Przytuliła ją mocno do siebie.



- Twoją mamusia wyjechała w daleką podróż i już nie wróci. - Zastanawiała się nad każdym słowem. - Nie dlatego, że nie chce wrócić, ale dlatego, że nie może. Twoja mamusia... miała wypadek. Zraniła się bardzo poważnie i potem - słowa uwięzły jej w gardle - umarła. - Katherine tuliła dziewczynkę do siebie. - Twoja mamusia chciała wrócić, chciała znów być z tobą. Bardzo cię kochała. Zawsze o tym pamiętaj. Wiem, co czujesz, Jenny. Wiem, że masz złe sny i wiem, jak bardzo się ich boisz. Ja też miałam kiedyś takie sny. - Przerwała i odetchnęła głęboko, po czym ciągnęła, mówiąc jakby bardziej do siebie niż do dziecka. - To nie twoja wina, Jenny. To nie twoja wina, że mama wyjechała i nie może wrócić. Nie zrobiłaś nic złego. Rozumiesz to, kochanie? Kocham cię, Jenny i nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić. Wiem, co teraz czujesz i wiem, że nie rozumiesz dobrze tego, co się stało, bo jesteś jeszcze malutka. Ale kiedyś zrozumiesz i wtedy wszystko będzie dobrze. - Katherine tuliła dziewczynkę do piersi, a po policzkach spływały jej łzy.

Scott cofnął się od drzwi sypialni. Słyszał słowa Katherine i kryjące się w nich emocje. Miał wrażenie, że zwracając się do Jenny, Katherine mówiła o sobie. Czuł też, że dla obu była to ważna chwila i jeśli chciał im pomóc, musiał pozostać z boku.

Katherine kołysała Jenny w ramionach, dopóki dziewczynka nie usnęła. Wtedy położyła ją do łóżka, pocałowała w czoło i wyszła z pokoju.

Weekend minął szybko, zbyt szybko, według Scotta. Dawniej miał dużo czasu, teraz bez przerwy mu go brakowało. Zaczął przeglądać kalendarz. W najbliższy weekend wyjadą z Katherine na romantyczne pustkowie, w następny odbędzie się aukcja, a za trzy tygodnie czeka go wyjazd do Yosemite.

Usadowił się wygodnie za biurkiem. Musiał zapoz-

nać się ze zmianami, jakie wprowadził George Weddington w najnowszym projekcie. Scott rozwinął rulon i zaczął porównywać nowe wykresy ze starymi. Zapowiadał się pracowity dzień.

Kiedy dotarł do domu, natychmiast zauważył kopertę wsuniętą pod drzwi. W takich kopertach pracownicy jego firmy otrzymywali czeki. W środku Scott znalazł banknot pięćdziesięciodolarowy, nic więcej. Uśmiechnął się, wkładając pieniądze do kieszeni. Załoga otrzymała czeki zaledwie dziś rano; Billy musiał więc natychmiast pójść do banku.

Chociaż było późno, Scott wykręcił numer telefonu Katherine. Chciał usłyszeć jej głos przed położeniem się spać. Rozmawiali o aukcji, a potem o nadchodzącym weekendzie. Scott nie chciał zdradzić, dokąd pojadą.

Oboje mieli szaleńczy tydzień i wciąż nie mogli się spotkać. Katherine dwa razy musiała uczestniczyć w oficjalnej kolacji, Scott z kolei miał spotkania wtedy, kiedy ona była wolna. Zdołali jedynie umówić się na lunch, zjedzony zresztą w pośpiechu. Co wieczór rozmawiali przez telefon.

Wreszcie nadszedł piątek. Scott po południu przyjechał po Katherine. Wziął ją w ramiona, ledwie przekroczył próg jej domu.

- Nie widziałem cię od wieków. - Przyłgął wargami do jej ust, zanim zdążyła odpowiedzieć. Drżała w jego objęciach, a każdy pocałunek zawierał gorącą obietnicę tego, co miało się wydarzyć w czasie weekendu. Powiedziała dziadkowi, że nie szuka męża, ale jej myśli coraz częściej krążyły wokół małżeństwa i rodziny.

Katherine wiedziała, że Cheryl ma rację; jej dom powinien być domem Jenny, ale brakowało w nim Scotta, który pozwoliłby im stać się prawdziwą rodziną. Chciała wiedzieć, co on naprawdę czuje. Powiedział jej już tyle rzeczy, ale nigdy, że ją kocha.

Katherine nie tylko go pragnęła, ale też potrzebowała. Obie go potrzebowały; i ona, i Jenny.

Jechali na północ, potem skręcili w stronę wybrzeża. Scott zamówił wcześniej miejsce w pensjonacie nad Russian River. Dostali przestronny pokój z kominkiem i tarasem, z którego rozciągał się wspaniały widok na wybrzeże. Zgodnie z instrukcjami wydanymi wcześniej, w pokoju czekała na nich butelka szampana, wstawiona do kubełka z lodem.

Stali na tarasie i patrzyli na ocean, trzymając się za ręce i słuchając szumu fal.

- Jak tu pięknie, Scott! Ale czuję się taka winna! Powinnam teraz pracować w domu nad budżetem. Trzeba też zaplanować kampanię na cały przyszły rok. Jest tyle pracy...

Położył palce na jej ustach.

- Ten weekend jest dla nas. - Pocałował ją delikatnie. - Nikomu nie wolno nawet mówić o interesach.

Weszli do środka i Scott zaczął rozpalać ogień w kominku, potem otworzył szampana. Pili pomału i patrzyli na cienie płomieni tańczące na ścianach. Ogarnęła ich atmosfera ciepła i bliskości.

Później poszli na kolację. Jedli wolno, prowadząc zwykłą rozmowę, podczas gdy kłębiące się w nich pożądanie coraz silniej żądało uzewnętrznienia. Weekend zaczął się znakomicie. Nic nie mogło im zakłócić chwil radości, pragnienia głębszego poznania się, nic nie mogło przeszkodzić rozkwitającej miłości.

Katherine leżała w ramionach Scotta, głowę trzymała na jego ramieniu, a rękę na piersi. Czuła jego miarowy oddech; Scott spał. Uśmiechnęła się, przytulając do niego mocniej i zamknęła oczy. Mieli przed sobą cały weekend. Wreszcie nie będzie musiał jej opuszczać w środku nocy albo nad ranem, żeby jechać

do domu. Obudzą się razem. Katherine westchnęła z zadowoleniem, po czym pogrążyła się we śnie.

Scott leżał bez ruchu. Obserwował Katherine, która wciąż jeszcze spała, wtulona w jego ramię. Patrzył na jej pełne piersi, pasma włosów rozrzucone w nieładzie na poduszce i długie rzęsy. Była absolutnie doskonała. Kochał ją coraz bardziej.

Katherine poruszyła się powoli i przeciągnęła się. Jej wzrok spoczął na twarzy Scotta.

- Dzień dobry. Dawno się obudziłeś? - spytała głosem lekko zachrypniętym od snu. Pogładziła palcami jego nagą pierś.

Odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował w czoło.

- Niedawno. Rozkoszowałem się właśnie widokiem pięknej, nagiej kobiety, śpiącej w mych ramionach. - Przesunął rękę po jej brzuchu, biodrze i dotarł do miejsca między udami.

- Czyżbyś miał na coś ochotę? - Uśmiechnęła się figlarnie.

- Tysiące rzeczy przychodzi mi do głowy. Wszystko wygląda tak zachęcająco, że po prostu nie wiem, od czego zacząć.

- Może orzeźwiający prysznic pozwoli ci podjąć decyzję. - Pocałowała go w policzek i wysunęła się z łóżka.

Bez słowa poszedł za nią do łazienki i odkręcił kurek; wokół szybko zrobiło się ciepło i parno. Razem weszli do kabiny. Woda kaskadami spływała mu na ramiona, gdy objął Katherine i przycisnął do siebie. Namiętność rosła, gdy mokre ciała przyłgnęły jedno do drugiego.

Delikatnie całował kąciki jej ust, ale wzrastające pożądanie nie pozwoliło im na tym poprzestać. Jego usta napierały, język stawał się coraz bardziej natar-

czywy. Przycisnął ją mocniej do siebie i przesunął dłonie w dół brzucha.

Czuła się jak pijana, otumaniona, stojąc w kłębach pary. Mokre włosy przykleiły się do szyi i policzków. Owinęła nogę wokół jego uda. Gorąca woda spływała po ciele, skąpy wała z naprzężonych sutek. Ręce Scotta były wszędzie, a każdy dotyk pobudzał jej zmysły do granic szaleństwa. Czuła się przytłoczona siłą swego pożądania. Nogi jej słabły, serce waliło, traciła oddech.

Scott pochylił się i objął wargami brodawkę jej piersi. Ssał najpierw łagodnie, potem coraz mocniej, ogarnięty szaleństwem. Gdy sięgnął do drugiej piersi, Katherine zacisnęła ręce na jego szyi i zanurzyła twarz w mokrych włosach, jęcząc z rozkoszy i pożądania.

- Och, Katherine, ja umieram - wykrztusił. Osunął się na kolana, przyciskając ramionami jej biodra i przesuwając dłonie po plecach. Pokrywał jej ciało pocałunkami, wargi i język poruszały się coraz szybciej w dół jej ciała, aż dotarły do miękkiego miejsca między udami.

Katherine miała wrażenie, że gdyby nie woda oblewająca wciąż jej ciało, zamieniłaby się w ogień, szalejący i trawiący wszystko, co napotka. Pocałunki Scotta były gorące i natarczywe, a ona odpowiadała na nie z żądzą, jakiej nigdy dotąd nie czuła. Gdy jego usta dotarły do centrum jej kobiecości, nie potrafiła już dłużej utrzymać się na nogach. Opadła na podłogę kabiny, osłaniana przez Scotta. Pokrywał ją całą pocałunkami, nigdy dotąd nie czuł aż takiego napięcia. Katherine była siłą jego życia i celem istnienia.

Podniósł ją do góry, sam leżąc na podłodze. Jego mocne ręce chwyciły jej biodra. Przymknął oczy, gdy poczuł rozwierające się płatki jej kobiecości. Z gardła wydobył się jęk rozkoszy, ciało zesztyniało, po czym uniosło się poderwane falą pożądania.

Kołysząc się miarowo, czuli, że stają się jednym

ciałem łaknącym spełnienia. Opadła na niego, otoczyła ją więc ramionami i przycisnął mocno.

Upłynęło kilka minut, zanim mogli oddychać normalnie. Scott owinął Katherine w duży ręcznik i począł ją dokładnie wycierać. Spojrzał jej w oczy i ujrzał w nich płonące wciąż pożądanie.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział miękko. - Obezwładniłaś mnie zupełnie. - Przytulił ją czule.

Ucisnęła go mocno.

- Nigdy jeszcze nie kochałam się pod prysznicem. Nie wiedziałam, co tracę. - W jej głosie słychać było pewne zakłopotanie i zawstydenie.

- Będziemy musieli kiedyś to powtórzyć, kiedyś, to znaczy: niebawem. - Przez parę minut trzymał ją w uścisku. - Zamówimy śniadanie. Umieram z głodu!

Był to dzień spełniania się wielu marzeń. Po śniadaniu pożyczili rowery i wybrali się na przejażdżkę cichymi wiejskimi drózkami. Po południu spacerowali po opustoszałej plaży i zbierali muszelki. Było im razem tak dobrze.

Po kolacji wrócili do pokoju. Scott rozpalil ogień w kominku, po czym usiedli na podłodze i patrzyli na tańczące płomienie. Nie musieli nic mówić; cieszyli się po prostu swoją obecnością. Katherine chciała, aby te chwile trwały wiecznie. Kochali się powoli i namiętnie, a nie w szale pożądania, jak rano. Katherine czuła, że z każdą chwilą jej miłość do Scotta nabiera mocy.

Ranek przespali. Po przebudzeniu leżeli w łóżku i rozmawiali cicho, szczęśliwi, że nie muszą wstawać. Katherine chciała opowiedzieć Scottowi swoją przeszłość, podzielić się z nim najbardziej intymnymi i bolesnymi tajemnicami. Chciała opowiedzieć o swoim małżeństwie i o tym, jak bardzo zranił ją nieczuły, pozbawiony serca Jeff. Chciała opowiedzieć o swym

smutnym dzieciństwie, o biciu, o samobójstwie matki i wynikającym z niego poczuciu winy. Chciała, żeby wiedział wszystko. A jednak wahała się; sama nie wiedziała dlaczego. Gnębiło ją to, że doświadczenia, przez które przeszła, wciąż jeszcze nie należały do przeszłości; nie mogła o nich myśleć spokojnie. Być może działo się tak z powodu Jenny. Dopóki miała nie znajdzie miłości i ciepła rodzinnego domu, ona nie potrafi wyzwolić się ze wspomnień. Kochała dziewczynkę bardzo, tak bardzo jak Scotta.

- Zimno ci? - Scott przytulił ją mocniej, grzejąc ciepłem własnego ciała.

- Chyba rzeczywiście zmarzłam. - Wtuliła się w niego. Poczuła nagle jakiś lęk; chciałyby wiedzieć, co Scott naprawdę myśli o ich związku. Czy ją kochał? Czy może kochać ją tak mocno, jak ona pokochała jego? Poprzednią euforię zastąpił nagle smutek. Miała nadzieję, że Scott tego nie zauważy, nie chciała przecież psuć cudownego weekendu. Pocałowała go w policzek.

Gładził jej biodro, po czym wsunął dłoń między uda. Głosem pełnym pożądania szepnął:

- Jeśli zaraz nie wstaniemy i nie ubierzemy się, będę zmuszony znów się z tobą kochać.

- Mam wrażenie, że przy tobie staję się bezwstydną i tracę wszelkie hamulce.

Zauważył figlarny uśmiech i błysk w turkusowych oczach. Pod jego językiem jej brodawka natychmiast stwardniała.

Po lunchu spakowali się i wsiedli do samochodu. Jechali w głąb kraju, wzdłuż rzeki. W końcu zatrzymali się i zagłębili w las, chłonąc jego zapachy. Kiedy przystanęli, słyszeli tylko ptaki, szmer wiatru w koronach drzew i trzask spadających szyszek. Przez chwilę Katherine miała wrażenie, że są jedynymi ludźmi na

ziemi, wolnymi od wszelkich nieszczęść, jakich przez wieki doświadczyła ludzkość.

Scott przytulił ją do siebie, odsunął włosy z policzka i spojrzał głęboko w oczy. Pocałował ją delikatnie.

Objęła go mocno w pasie i oparła głowę na jego piersi.

- Dziękuję za ten weekend. Nigdy nie przeżyłam równie cudownych chwil. Nawet nie chcę myśleć, że to już koniec.

- Dziękuję, że ze mną pojechałaś... ale to jeszcze nie koniec. Jest jeszcze jedna rzecz... powiem ci, gdy wrócimy do domu.

- Jeszcze coś? Przecież wszystko było takie doskonałe.

Spojrzał na nią jak mały chłopiec, który nie chce zdradzić sekretu i z trudem zachowuje go dla siebie.

- Zobaczysz. - Ucisnął jej dłoń i ruszyli dalej.

Scott czuł teraz takie samo zdenerwowanie, jak w czwartek, gdy poszedł do jubilera. Nie mógł się zdecydować, czy najpierw poprosić ją o rękę, a potem razem z nią wybrać pierścionek, czy też oświadczyć się, mając już dla niej ten tradycyjny zaręczynowy podarunek. Nie wiedział też, co wybrać. Jak miał kupić pierścionek dla kobiety znacznie bogatszej od siebie, która mogła sobie pozwolić na kupno wszystkiego, co najlepsze?

Kwestia finansów w ogóle przyprawiała go o drżenie. Tyle pytań pozostawało wciąż bez odpowiedzi. Czy Katherine będzie chciała, a raczej czy zdoła zadowolić się życiem z jego dochodów? A on, czy oswoi się z myślą, że jego żona jest wielokrotnie bogatsza niż on sam? Prawie zawrócił na progu sklepu jubilerskiego, ogarnięty tysiącem wątpliwości.

Nie. Jedyne, jakiej był pewien, to swej miłości do Katherine Fairchild i pragnienia, aby spędzić z nią

resztę życia. Miał zamiar poprosić ją o rękę natychmiast po powrocie do domu.

Wrócili do samochodu i ruszyli w kierunku San Francisco. Zrobiło się już późne popołudnie i musieli się pospieszyć. W ich rozmowę wkładało się coraz więcej tematów z codziennego życia.

- Jak Billy radzi sobie w pracy? Ostatni raz widziałam go w sądzie, a chyba powinnam coś wiedzieć, jestem przecież za niego odpowiedzialna.

- Chyba dobrze mu idzie. John mówi, że zawsze przychodzi na czas, nie przysparza kłopotów i robi, co do niego należy. A nawet posunął się jeszcze dalej. Wiem, że donoszenie jest całkowicie sprzeczne z jego naturą, ale opowiedział mi, że kilku facetów na budowie narkotyzuje się i kradnie. Dzięki niemu zdołaliśmy uciąć całą sprawę, zanim doszło do czegoś gorszego i to tak, że nikt nie podejrzewa Billy'ego o jakikolwiek udział w tej sprawie. - Scott zmarszczył czoło. - Zastanawiam się tylko, po co jeździ codziennie do Tiburon i co robił u mamy w tę sobotę, gdy jechaliśmy na piknik. Mama powiedziała mi, że Billy jej w czymś pomaga, ale w jego spojrzeniu było takie poczucie winy, że nie wydaje mi się, aby to była prawda.

Katherine zamyśliła się.

- Wiesz, tego dnia, gdy żeglowaliśmy, kiedy wróciłam do ośrodka, nie było go, a Cheryl nie umiała mi powiedzieć, dokąd poszedł. Później Lynn wyjaśniła mi, że Billy załatwiał dla niej jakieś sprawy. - Spojrzała na Scotta. - Chciałabym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Poklepał ją po ręku.

- Gdyby działo się coś złego, mama na pewno by tego nie tajiła.

Przez chwilę jechali w milczeniu i nagle Katherine rozjaśniła się, jakby tknięta jakąś nową myślą.

- Widziałam twój projekt randki. Jakaś szczęśliwa pani spędzi miły weekend. W Yosemite Valley jest przepięknie o tej porze roku. W dodatku park jest prawie pusty, bo letni turyści już wyjechali, a na narty i śnieg jeszcze za wcześnie.

- Podejrzewam, że nie będziesz chciała na mnie postawić, żeby uratować mój honor, gdy żadna z pań nie zechce mnie wybrać. - Rzucił jej łobuzerskie spojrzenie.

- Myślę, że nie grozi ci takie niebezpieczeństwo. Sądzę, że raczej możesz obawiać się prawdziwej walki o spędzenie weekendu z tobą. - Roześmiała się, rozbawiona jego zakłopotaniem. - Wszystko wyjaśni się w najbliższą sobotę.

- Będę się czuł winny, wyjeżdżając na weekend z jakąś inną kobietą.

- Możesz mi to wynagrodzić. Nasza rodzinna rezydencja nad jeziorem Tahoe stoi pusta od Bożego Narodzenia do Nowego Roku. Przez parę dni możemy się tam ukryć przed resztą świata.

Było już ciemno, gdy dotarli do domu Katherine. Scott wiedział, że czeka ją pracowity tydzień w związku z aukcją. Prawdopodobnie była to więc ostatnia chwila, którą mogli spędzić razem w spokoju. Zaniósł jej walizkę do sypialni.

- Czy masz gdzieś plan przebiegu całej aukcji? - spytał.

- Tak, w biurku. Musisz poszukać w szufladzie, ja przygotuję coś do jedzenia. - Pocałowała go w przelocie i zbiegła na dół.

Scott wszedł do jej biura i otworzył szufladę biurka.

Minęło piętnaście minut, a on wciąż nie schodził. Katherine stanęła u dołu schodów i krzyknęła:

- Scott? Znalazłeś to, czego szukałeś?

Scott zszedł po schodach. Jego twarz przypominała maskę, pozbawioną jakichkolwiek uczuć, tylko w szarych oczach czaił się ból.

- Tak, pani Fairchild. Myślę, że znalazłem wszystko, co mi potrzebne. - W rękę trzymał teczkę, na której dużymi, drukowanymi literami napisane było jego nazwisko. Jego głos pozbawiony był emocji. - Właściwie, znalazłem chyba więcej, niż chciałaś, a na pewno więcej, niż sam się spodziewałem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Katherine doznała wstrząsu na widok teczek, którą Scott trzymał w rękę. Zupełnie o niej zapomniała. Musiała przypadkiem wsunąć ją do szuflady razem z innymi papierami. Ogarnęła ją panika; czuła ucisk w żołądku i gwałtowne bicie serca.

- To nie jest tak, jak myślisz... - szepnęła ochryple.

- Nie? - przerwał. - Chyba szukasz usprawiedliwienia. Przeprowadziłaś wywiad na mój temat, aby upewnić się, czy jestem godny utrzymywać znajomość z przedstawicielką elitarniej rodziny Fairchildów. Dobra robota; wyciąg finansowy, dane dotyczące okresu studenckiego, sprawozdanie na temat środowiska rodziców i mojego otoczenia. - Stuknął palcem w kartkę. - „Liczne romanse zakończone dyskretnie, żaden nie był szczególnie poważny. Zaręczył się pięć lat temu, mniej więcej w okresie śmierci ojca, ale do ślubu nie doszło. Nie wiadomo, czy istnieje związek między tymi sprawami, czy też ich zbieżność w czasie jest przypadkowa.” Poruszyłaś niebo i ziemię, brak jedynie liczby odznaczeń, które zdobyłem jako harcerz.

Oczy Katherine napełniły się łzami.

- Scott, proszę, posłuchaj...

- Zagrywki bogatych i sławnych... można ci przyznać pierwsze miejsce. Całkowicie dałem się na to nabrać. Mogę się tylko pocieszyć, że nie zdążyłem zrobić z siebie kompletnego głupca, mówiąc ci na przykład, jak bardzo cię kocham. - Głos Scotta drżał ze wzruszenia. - Albo prosząc, żebyś za mnie wyszła.

Do widzenia, pani Fairchild. - Rzucił teczkę na stół i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Tylko raz w całym swym życiu czuł się tak skrzywdzony i poniżony, jak w tej chwili. Było to wtedy, gdy umarł ojciec, a zaręczyny zostały zerwane. Nigdy nie sądził, że może zdarzyć się coś równie złego. Mylił się.

Kochał Katherine tak bardzo, dużo bardziej niż kiedyś Carol. Wsiadł do samochodu i pojechał do domu, nie bardzo wiedząc, co się wokół niego dzieje.

Wszedł do sypialni, nie zapalając światła i wsunął rękę do kieszeni. Wyjął małe aksamitne pudełeczko, otworzył i wziął do ręki pierścione z diamentami. Zacisnął dłoń. Nigdy już nie będzie kochać nikogo tak bardzo, jak Katherine.

Katherine osunęła się na krzesło w kuchni. Nie czuła własnego ciała, miała wrażenie, że znajduje się w próżni. Jak to możliwe, żeby żyć w absolutnej ekstazie, a piętnaście minut później spaść w otchłań? Wstała i wolno ruszyła po schodach do sypialni. Nigdy nie będzie nikogo kochać tak mocno, jak Scotta. Łkając rzuciła się na łóżko i w końcu zmęczona usnęła.

Katherine przeżyła koszmarną noc. Kiedy już się wypłakała, postanowiła wziąć się w garść. Rozpacz ustąpiła miejsca wściekłości. Była wściekła na siebie, że od razu nie zniszczyła raportu, zamiast beznamiętnie chować go do biurka. Była też wściekła, że pozwoliła Scottowi wyjść, zanim wysłuchał jej wyjaśnień. Była wściekła na dziadka, że kazał sporządzić raport. Ale najbardziej była wściekła na Scotta za to, że nie pozwolił jej wszystkiego wyjaśnić.

Wciąż wracały do niej jego słowa, gdy powiedział, że ją kocha i chciał, aby za niego wyszła. Wiedziała, że

nęty prosto z serca i była wściekła, że pozwolił, aby urna i upór wzięły górę na miłością.

Gniew tylko utwierdził ją w postanowieniu; powie-ała kiedyś Scottowi, że zawsze osiąga zamierzony cel; każe mu teraz, że nie rzuca słów na wiatr. Katherine ochała Scotta bardziej niż własne życie i nie zamierzała zwolnić, aby ta miłość się skończyła. Nie załamie się i nie umrze. Może takie myśli przemknęły jej przez owę w nocy, ale nadchodził nowy dzień i zamierzała dając walkę. Doświadczenie nauczyło ją już, że nie olno uciekać ani się chować. Znajdzie sposób, żeby dotrzeć do Scotta i zmusi go, aby jej wysłuchał.

- Powiedz pani Fairchild, że mnie nie ma - Scott mówił do intercomu. - Możesz jej oznajmić, że wyjechałem z kraju i nie wiem, kiedy wrócę. - Spojrzał na telefon. Po co do niego wydzwaniała? Nie mieli już sobie nic do powiedzenia, raport wyjaśnił wszystko. Scott miał ochotę wycofać się z udziału w aukcji, ale pomyślał, że nie może w ostatniej chwili wystawić wszystkich do wiatru. W czasie wieczoru należało tylko trzymać się z daleka od Katherine. W sobotę ten rozdział jego życia zostanie zakończony.

Poniedziałek włókł się niemiłosiernie, wydawało się, że upłynęły godziny, ale wskazówki zegarka przesunęły się zaledwie o dziesięć minut. Scott nie mógł się skoncentrować. W końcu zgasił światło i wszedł do biura Amelii.

- Wychodzę. Zobaczmy się rano. - Nie patrzył jej w oczy; wiedział, że ujrzałby tylko dezaprobatę. Otworzył drzwi i w tym momencie zobaczył Katherine wychodzącą z windy. Zawrócił błyskawicznie.

- Nie ma mnie dla pani Fairchild. Wyjdę drugim wyjściem - rzucił w biegu, po czym wpadł do biura i zamknął za sobą drzwi.

Katherine minęła recepcjonistkę i skierowała się prosto do pokoju Amelii. Starła się zachowywać z godnością.

- Dzień dobry, Amelio. - Uśmiechnęła się. - Chciałabym się widzieć ze Scottem. I proszę, nie mów mi, że nie ma go w kraju.

Wzrok sekretarki nerwowo błędził po całym pomieszczeniu, Amelia nie miała odwagi spojrzeć Katherine w oczy.

- Wyszedł przed chwilą, pani Fairchild.

Katherine spojrzała jej prosto w twarz.

- Widziałam jego samochód na parkingu. Zaczekam tu, jeśli pozwolisz.

Amelia podniosła wzrok.

- Bardzo proszę, jeśli pani chce, ale on już naprawdę dziś nie wróci. - Widząc smutek i cierpienie w oczach Katherine, Amelia czuła się jak winowajczyni.

To był okropny tydzień. Scott opadł na krzesło i obrócił się w stronę okna. Niskie szare chmury zapowiadały deszcz, wieże Golden Gate Bridge ginęły we mgle, a spienione fale zatoki, gnane wiatrem, rozbiły się o wybrzeże. Pogoda dokładnie odpowiadała jego nastrojowi. Patrzył przez okno, ale nie potrafiłby powiedzieć, co tam widzi.

Obrócił się, otworzył szufladę biurka i wyjął małe aksamitne pudełeczko. Początkowo miał zamiar zwrócić je do sklepu. Otworzył zameczek i wziął pierścionek do ręki. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie był w stanie się go pozbyć. Może chciał zatrzymać przy sobie pamiątkę najszcześniejszych dni swego życia? Obrócił pierścionek w palcach, diamenty rozbłysły w świetle lampy. Po chwili schował go z powrotem do pudełka.

Amelia weszła do biura, niosąc bukiet kwiatów.

- Gdzie mam je postawić? Przed chwilą był tu posłaniec.

- Znowu kwiaty od pani Fairchild? Ile to już razy w tym tygodniu? Od poniedziałku do czwartku po jednym bukietem, a dziś dwa, razem sześć. - Westchnął ciężko. - Zrób z nimi to, co z poprzednimi; poślij do szpitala. Niech ktoś się nimi cieszy.

- Nie przeczyta pan bileciku?

- A różni się czymś od poprzednich?

- Nie, panie Blake. Treść jest taka sama. „Musimy usiąść i porozmawiać. Proszę, przyjdź dziś do mnie o ósmej.”

Scott wiedział, że musi coś zrobić. I to szybko. Stan jego umysłu zaczynał już mieć wpływ na funkcjonowanie firmy. Zapominał o różnych sprawach, lekceważył inne. Jasność jego myśli pozostawiała wiele do życzenia.

Natychmiast po zakończonym spotkaniu w Hyatt Katherine pojechała do ośrodka i zabrała Jenny. Umówiła się z dziadkiem na wczesną kolację, o ósmej musiała być w domu. Dziadek nalegał, żeby przywiozła ze sobą Jenny. Robiło jej się ciepło na sercu, gdy widziała, z jaką miłością o niej mówi. Była to ta sama, pełna czułości miłość, jaką obdarzał Katherine podczas najczarniejszych dni jej dzieciństwa. Traktował Jenny, jakby była jego wysnioną prawnuczką, o którą nie przestawał molestować Katherine.

Usiłowała rozchmurzyć czoło, ale przed dziadkiem nic nie można było ukryć. Nie mógł jednak zapytać wprost, co się stało; Jenny siedziała na jego kolanach i śmiała się radośnie, poklepując go po nosie i policzku.

Po kolacji dziewczynka usnęła na kanapie, a R.J. zwrócił się do wnuczki otwarcie, jak to miał w zwyczaju:

- Co się stało, Katherine? Kiepsko wyglądasz.



Wiem, że ta praca kosztuje cię masę energii i zawsze przed aukcją wyglądasz jak z krzyża zdjęta, ale tym razem chyba chodzi o coś innego.

Katherine odwróciła wzrok, nie chcąc napotkać jego spojrzenia. Potrafił wyciągnąć z niej każdą tajemnicę, nawet najgłębiej skrywaną i najbardziej przykrą.

- Nic się nie stało, dziadziu. Jest tak, jak mówisz; zawsze źle się czuję przed aukcją. Jak już to wszystko minie, będzie lepiej.

Zmrużył oczy, patrząc uważnie na wnuczkę.

- Katherine Sutton Fairchild, nie waź się kłamać. Potrafię przecież wszystko wyczytać z twojej twarzy.

Katherine znieruchomiała; od lat dziadek nie zwracał się do niej w taki sposób. Tym właśnie tonem usiłował ją kiedyś nakłonić, żeby opowiedziała mu o matce i o biciu. Znów poczuła się jak przerażona mała dziewczynka, która wie, że nie wolno jej zdradzić tajemnicy, a równocześnie nie potrafi znieść po cichu cierpienia. Nie mogła powstrzymać łez.

- To Scott, dziadziu... Tak bardzo go kocham. Dlaczego życie jest takie okropne? - Udręczonym głosem opowiedziała mu całą historię. - Wiem, że mnie kocha, dziadziu, wiem na pewno. Po prostu jego duma została zraniona i teraz... - Nie była w stanie już nic powiedzieć.

Starszy pan patrzył na nią w zamyśleniu.

- Hm. Zdaje się, że jestem za to częściowo odpowiedzialny. Może mógłbym...

- Nie waź się nic robić, to tylko pogorszy sprawę. Sama muszę się tym zająć. Jeśli się wtrącasz, Scott pomyśli, że rzeczywiście był obiektem manipulacji. Proszę, dziadziu, nie wtrącaj się... Obiecuj mi!

- Dobrze, Katherine, obiecuję.

R.J. bardzo kochał swoją wnuczkę. Cierpiał, widząc ją w takim stanie, a zważywszy na jego charakter, świadomość, że ma związane ręce, musiała mu bardzo ciężać.

Sobotnie przedpołudnie upływało w gorączkowej atmosferze. Aukcja zaczynała się o siódmej, ale wciąż jeszcze trzeba było załatwić tysiące rzeczy, odłożonych na ostatnią chwilę. O trzeciej wszystko było związane na ostatni guzik. Katherine i Liz jeszcze raz sprawdzały, czy o niczym nie zapomniano, Lynn przeglądała listę zaproszonych gości.

- Drodzy przyjaciele. - W sali balowej rozległ się dźwięczny głos Katherine. - Chciałabym wam wszystkim podziękować za ofiarną pracę, jaką włożyliście w przygotowanie tegorocznej aukcji. Myślę, że odniesiemy sukces. - Przerwały jej oklaski. - Po aukcji, w domu mojego dziadka, R. J. Fairchilda, już tradycyjnie odbędzie się przyjęcie dla zaproszonych gości. Nie zapomnijcie więc zabrać zaproszeń, bo należy je okazać przy wejściu. Jeszcze raz bardzo wam dziękuję. A teraz pora do domu, trzeba się przebrać i przygotować na wieczór. Spotykamy się o szóstej.

Billy siedł z Lynn w stronę samochodu.

- Nie jestem taki pewien sukcesu - powiedział, ale widząc pełne wyrzutu spojrzenie matki Scotta, dorzucił: - Tak, tak, wiem. Nie ma o czym mówić.

-Zobaczysz, że wszystko *pójdzie* świetnie. - Uśmiechnęła się, próbując mu dodać otuchy.

Scott nie mógł sobie poradzić z czarnym krawatem. Nie cierpiał smoków, a zawiązywanie krawata doprowadzało go do białej gorączki. Udało się za czwartym podejściem. Wziął do ręki zaproszenie na przyjęcie. Zawahał się; nie miał zamiaru w nim uczestniczyć, ale ostatecznie wsunął je do kieszeni. Lepiej było mieć przy sobie, zawsze mogą zajść jakieś nieprzewidziane okoliczności. Choć impreza rozpoczynała się za kilka godzin, Scott czuł nerwowe skurcze żołądka. Tym, co przerażało go najbardziej, było nie

publiczne wystąpienie, ale fakt, że spotka się z Katherine.

Czuł się fatalnie; ostatni tydzień był dla niego najgorszym okresem w życiu. Katherine była wszędzie, widział wciąż przed sobą jej błyszczące turkusowe oczy. Pamiętał wszystko; boleść, jaką dostrzegł na jej twarzy, gdy usiłowała uspokoić Jenny przerażoną złym snem i emocje, które słyszał w jej głosie, gdy próbowała wyjaśnić dziewczynce, co się stało z jej mamą. Czy kiedykolwiek uda mu się wyrzucić z serca tę miłość? Zamknął oczy, próbując się uspokoić.

Katherine przypominała kłębek nerwów. Nie widziała Scotta ani nie rozmawiała z nim od pamiętnej chwili w niedzielę. Dziękowała Bogu za szaleńcze tempo, w jakim żyła przez ostatni tydzień, była tak zajęta, że po prostu nie miała czasu na ponure rozmyślenia ani na rozpacz. Ani jednej nocy nie przespąła jednak spokojnie. Zastanawiała się, na ile Lynn orientuje się w całej sprawie i co Scott mógł jej powiedzieć.

A poza tym była Jenny; Jenny, która nie przedstawiała pytać, gdzie jest Scott. Katherine nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Czuła, że ogarnia ją coraz większy smutek. Nagle oprzytomniała; trzeba się było pospieszyć, inaczej się spóźni.

Billy czuł straszne zdenerwowanie, wysiadając z samochodu Lynn. Po raz pierwszy w życiu miał na sobie garnitur i czuł się bardzo niezręcznie.

- Rany, nigdy tego nie zrobię!

- Dobrze wyglądasz, Billy. Teraz spędzimy miły wieczór na aukcji, a potem pojedziemy na przyjęcie. Myślę, że to będzie odpowiednia chwila, żeby to ogłosić, jak sądzisz?

- Ogłosić! - Billy najwyraźniej wpadał w coraz większą panikę. - Zgodziłem się na wszystko, ale...

- Uspokój się. Dobrze wiesz, że nie udałoby ci się, gdybyś sam nie chciał. Potrzebowałeś jedynie trochę pomocy na dobry początek. Możesz być z siebie naprawdę dumny. Ja jestem z ciebie dumna i wiem, że Katherine też będzie. A teraz chodźmy do środka.

Przez chwilę patrzył na nią uważnie.

- A co ze Scottem? Czy on wie?

- Obiecałam ci, że to będzie nasza tajemnica, że nikomu nic nie powiem i dotrzymałam słowa. Scott nie wie o niczym.

Katherine podchodziła od jednej grupki do drugiej, ze wszystkimi zamieniając parę słów. Zauważyła Lynn i Billy'ego natychmiast, gdy weszli.

- Billy, świetnie wyglądasz! Czy będziemy cię częściej widywać w tym stroju?

Chłopak patrzył w ziemię, najwyraźniej speszony.

- Tak, pewnie... Nie miałem nic do nałożenia...

- Spojrzał na Lynn i poprawił się. - Nie miałem odpowiedniego stroju na dzisiejszy wieczór, więc kupiłem garnitur i krawat. - Nerwowo krążył spojrzeniem od Lynn do Katherine. - Może być?

- Tak. - Katherine uśmiechnęła się i poklepała go po policzku. - Jest elegancki. - Błysk flesza oznaczał, że zostali utrwaleni razem na zdjęciu.

Lynn pochyliła się w stronę chłopca i poprosiła cicho:

- Czy możesz poszukać naszego stolika? Ja zaraz przyjdę. - A gdy Billy odszedł, zwróciła się do Katherine. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś ostatnio niewiele spała.

Obie patrzyły na siebie przez chwilę. Lynn zauważyła, że Katherine się waha. Odezwała się wolno, jakby odmierzając słowa:

- Wiem, że nie powinnam się wtrącać do twoich spraw, ale jeśli potrzebujesz przyjacielskiego wsparcia, to chciałam ci powiedzieć, że możesz na mnie liczyć. Przez ostatnich kilka tygodni miałam wrażenie, że jesteś szczęśliwa. Promieniałaś radością... aż do ostatniego tygodnia. - Lynn zawahała się przez chwilę, nie wiedziała, na ile może sobie pozwolić. - Wiem, że spotykasz się ze Scottem. Nie mówił mi o tym, ale to nietrudno stwierdzić. Jeśli chcesz ze mną o czymś porozmawiać, obiecuję, że pozostanie to między nami.

- Dziękuję. - Katherine uściśniła ją serdecznie. - Może rzeczywiście... - Oczy jej nagle zaszyły łzami i musiała wziąć głęboki oddech, żeby nad sobą zapanować. - Dziękuję za propozycję. Być może skorzystam z niej któregoś dnia. - Odwróciła się i odeszła, aby przywitać kolejnych gości.

Scott stał na progu sali. Zaszło mu w gardle, spróbował więc przełknąć ślinę. Ujrzał Katherine i na jej widok poczuł gwałtowne bicie serca. Ogarnęła go nagle rozpacz. Pomyślał, że nigdy już nie odzyska równowagi ducha. Katherine była olśniewająco piękna. Długa suknia podkreślała wspaniałą figurę dziewczyny, a jej turkusowy kolor harmonizował z kolorem oczu, których Scott nie potrafił zapomnieć.

W chwili gdy podniesiono kurtynę, Katherine zdała sobie sprawę, że Scott jest już wśród gości. Kiedy ich oczy spotkały się, poczuła skurcz żołądka. Scott chciał wyjść, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Czuł narastającą panikę. Wiedział, że Katherine zrobi z nim dziś, co zechce i nie mógł do tego dopuścić. Nie mógł pozwolić, żeby wszystko się powtórzyło.

Pragnął ją objąć, całować i pieścić jej ciało. Chciał, aby wszystko było tak jak tydzień temu, zanim poznał gorzką prawdę. Z trudem skierował się w stronę podium.

Katherine patrzyła na niego, gdy szedł przez salę.

Nie uda mu się unikać jej przez cały wieczór. Kochała go i wiedziała, że on ją też kocha. Jego upór wzbudził nie tylko jej gniew, ale też determinację. Scott nie uwolni się od niej tak łatwo. Nigdy nie pragnęła nikogo tak, jak Scotta Blake'a. O nie, ich historia jeszcze się nie skończyła!

Aukcja miała się zacząć dosłownie lada chwila.

- Nigdy jeszcze nie mieliśmy aż tylu gości. - Podniekcytowana Liz złapała Katherine za rękę. - Czuję, że zbierzemy olbrzymie sumy. - Objęła wzrokiem tłum zgromadzony w sali. - No, pora zaczynać.

Kiedy weszła na scenę, zapanowała natychmiast cisza.

- Panie, panowie, dobry wieczór. Jestem Liz Torrance. Witamy na piątej już aukcji kawalerów, z której dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne. Jeśli ktoś z państwa nie ma jeszcze listy naszych kawalerów i ich propozycji dotyczących randki, proszę o podniesienie ręki. - Rozejrzała się po sali. - Dobrze, wygląda na to, że możemy zaczynać.

Katherine stała po przeciwnej stronie sali. Liz, jak zwykle, znakomicie panowała nad sytuacją. Kawalerowie, po prezentacji, mieli pozostać na scenie, a gdy nadejdzie ich kolej, samodzielnie przedstawić swój program randki i uzasadnić wybór proponowanych atrakcji. Katherine rzuciła okiem na program; Scott miał numer trzynasty z piętnastu.

Aukcja- przebiegała gładko. Dwóch kawalerów, piłkarz i baseballista, zdobyło mnóstwo ofert.

Katherine obserwowała Scotta. Była absolutnie pewna, że wolałby teraz chodzić bosymi stopami po rozżarzonej węglu, niż stać na podium. Nadchodziła jego kolej.

Licytacja zaczęła się natychmiast i posuwała szybko. O Scotta walczyły cztery panie; dwie społeczniczki dysponujące sumami już uzyskanymi od ofiarodaw-

ców i dwie damy, które płaciły własnymi pieniędzmi. Katherine widziała zdumienie na twarzy Scotta, gdy cena rosła z każdą chwilą. Osiągnięta została suma dziesięciu tysięcy dolarów, taka sama, za jaką został kupiony piłkarz. Liz spytała, czy ktoś daje więcej i miała zamiar zakończyć już licytację Scotta.

Nastała krótka chwila ciszy, po czym rozległ się głos Katherine:

- Piętnaście tysięcy dolarów.

Zaraz potem dał się słyszeć szmer tłumu i trzask fleszy. Liz sprawiała wrażenie zaskoczonej, Scott zupełnie zdezorientowanego. Liz jednak natychmiast odzyskała równowagę.

- Czy ktoś ma ochotę podbić tę stawkę? - Rozejrzała się. - Nie? Kończę licytację. Scott Blake sprzedany Katherine Fairchild za piętnaście tysięcy dolarów.

Zgodnie z procedurą, Katherine weszła na podium po „odbiór” nagrody. Publiczność klaskała, flesze błyskały. Wzięła Scotta za rękę i wycofała się w stronę stolika przeznaczanego dla kawalerów i ich pań.

Czuła, że jest spięty i ogarnęło ją podniecenie. Musi się udać. Znajdzie w końcu chwilę, gdy będą sami i zmusi go, aby jej wysłuchał. Scott zrozumie, będzie tylko musiała wszystko mu opowiedzieć; o dzieciństwie, o małżeństwie. I tak zamierzała to zrobić, tyle tylko, że w innych warunkach.

Scott był wściekły. Dużo wysiłku kosztowało go zachowanie spokoju i uśmiechu, kiedy razem schodzili ze sceny. Gdy usiedli, szepnął przez zaciśnięte zęby:

- Nie wystarczyło ci zrobić ze mnie głupca prywatnie? Musisz prowadzić swoje gierki dalej, żeby ośmieszyć mnie publicznie?

Katherine odpowiedziała cicho, nie chcąc, aby ktokolwiek zainteresował się ich rozmową:

- Nie dałeś mi wyboru, a ja muszę omówić z tobą kilka spraw.

- Nie ma co omawiać.

- Jest, i to bardzo dużo. I wysłuchasz w końcu tego, co mam ci do powiedzenia.

- Chyba nie myślisz poważnie, że pojedziemy razem na tę głupią randkę? - Było to raczej gniewne stwierdzenie niż pytanie.

- Zapłaciłam piętnaście tysięcy za spędzenie z tobą weekendu. Mam nadzieję, że te pieniądze mi się zwrócą.

- Oczywiście... - Scott zacisnął zęby. - Jakżeby inaczej! — Napięcie na jego twarzy nagle zelzało, w głosie dało się słyszeć desperację. - Nikt cię nie prosił, żebyś wzięła udział w licytacji.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Jeśli sobie przypominasz, sam prosiłeś mnie o tydzień temu.

- Na chwilę zgłupiałem, to wszystko - mruknął. Nagle jednak posmutniał.

Poczuł zapach jej perfum. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Nie rozumiał, co właściwie Katherine stara się udowodnić, ani co pragnie osiągnąć.

Rozmowę przerwało zakończenie aukcji. Katherine nie zdażyła nic wyjaśnić. Liz przemówiła do wszystkich par, upewniając się, czy wezmą udział w przyjęciu. Zaplanowane były wywiady i zdjęcia reklamowe.

Scott miał przedtem nadzieję, że zdoła się wymknąć. Jednak w tych okolicznościach nie miał wyboru. Gdyby nie wziął udziału w przyjęciu, stałoby się to prawdziwą sensacją i poruszyło lawinę domysłów i plotek.

W rezydencji Fairchildów trwały ostatnie przygotowania. Służba parkingowa czekała już na pierwszych gości, kucharze krzatali się w kuchni. Dom oświetlono od piwnic aż po dach; miał być wszak miejscem wielkiej towarzyskiej gali. Scott zjechał z drogi i przystanął na poboczu. Potrzebował chwili skupienia, żeby

zebrać myśli. Niespodziewanie, w związku z tym, że kupiła go właśnie Katherine, stał się ośrodkiem zainteresowania. Z niechęcią myślał o tym, że każde jego słowo i każdy ruch będą z uwagą obserwowane.

Choć bardzo się starał, nie potrafił znaleźć logicznego wyjaśnienia zachowania Katherine. Westchnął, po czym włączył silnik i ruszył w stronę rezydencji.

- Pamiętaj, dziadziu, obiecałeś.

- Katherine, ile razy mówiłem ci, żebyś mnie tak nie nazywała.

Pocałowała go szybko w policzek i uśmiechnęła się.

- W porządku, dziadku.

Goście zaczęli się pomału schodzić. Katherine przyjechała do Saint Francis Woods natychmiast po zakończeniu aukcji, żeby tylko zdążyć przed Scottem.

- Nie wiem, czy mi się uda, ale muszę spróbować. Kocham go i zrobię wszystko, żeby go odzyskać.  
- Zadrżała nagle. - Wiem, że on też mnie kocha i właśnie dlatego chcę, żeby do mnie wrócił.

Scott oddał samochód pod opiekę chłopca parkingowego i ruszył ku wejściu. Zatrzymał się jednak na chwilę i rozejrzał dokoła; nie widział, jak dotąd, wspanialszej rezydencji. Ze zdenerwowania rozboleł go brzuch. Miał ochotę uciec. Wziął głęboki oddech i zaczął wchodzić po schodach. W drzwiach lokaj odebrał od niego zaproszenie.

Spostrzegł Katherine w chwili, gdy przekroczył próg. Chwyciła go za rękę.

- Chodź ze mną, musimy porozmawiać.

- Nie mamy o czym mówić. - Wyrwał rękę z jej uścisku. - Nie mam zamiaru dalej być pionkiem w pani grze, pani Fairchild.

- Scott, proszę, to nie jest gra. - W każdym jej słowie brzmiał smutek. - Ten raport trafił do mnie przypad-

kiem. Wyjaśnię ci wszystko. Poszukajmy tylko jakiegoś ustronnego miejsca i...

- Daj spokój, Katherine - przerwał martwym głosem. - Pozwól mi wyleczyć rany i wrócić do normalnego życia.

- Rzeczywiście! - Katherine zapłonęła gniewem. - Nie pomyślałeś jakoś o moich ranach?

Scott był teraz równie wściekły jak ona.

- O jakich ranach pani mówi, pani Fairchild?  
- Rozejrzał się szybko, upewniając się, że nikt ich nie słyszy i dodał ciszej: - Prowadziła pani grę i zwyciężyła w każdej rundzie. Ja straciłem wszystko. - Zniżył głos do szeptu. - I nie chcę już dłużej grać.

Na twarzy Katherine malowało się zdecydowanie.

- Mam całą masę rzeczy do omówienia i wysłuchasz mnie, nawet jeśli będę musiała przywiązać cię do krzesła i...

- Tu jesteś, Katherine - rozległ się obok głos Jima Daltona. - Muszę ci koniecznie przedstawić kilka osób. - Spojrzał pytająco na Scotta. - Pozwoli pan, że porwę ją na kilka minut, prawda? Obiecuję, że zaraz wróci.

Scott wydał westchnienie ulgi. Kiedy Katherine dotknęła jego ręki, zdecydowanie zaczęło słabnąć. Nie miał jednak zamiaru nigdzie z nią iść ani o niczym rozmawiać.

Idąc z Jimem przez pokój, Katherine odwróciła głowę i spojrzała na Scotta. Ich oczy spotkały się na chwilę, zanim wmieszała się w tłum. Scott wciąż wypatrywał jej wśród gości. Zamknął oczy, ale pod powiekami pojawił się zaraz jej obraz.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wszystko w porządku, kochanie? - Lynn położyła rękę na ramieniu Scotta. - Dziwnie wyglądasz. Wydawałoby się, że mężczyzna, o którego dopiero co walczyło pięć kobiet i ostatecznie został kupiony za piętnaście tysięcy dolarów, powinien być bardziej zadowolony.

- Mamo... hmm... - Scott nie wiedział, co powiedzieć. Zauważył nagle Billy'ego i z ulgą zmienił temat. - Billy? W garniturze i krawacie?

- O rany, dlaczego wszyscy robią z tego takie wielkie halo? Myślisz, że do końca życia mam zamiar kopać doły?

- O, masz jakieś konkretne plany?

- Możesz powiedzieć Johnowi Barclayowi, żeby uważał, bo poluję na jego posiadłość. Myślę też - spojrzał wyzywająco na Scotta - że podobałaby mi się taka praca, jak twoja; siedzieć przy biurku i przekładać papiery.

- Lynn, wyglądasz zachwycająco. - Jim Dalton powrócił sam, pozostawiając Katherine w gronie biznesmenów. - W sali obok gra muzyka. Czy można cię prosić? - Podał Lynn ramię i uśmiechnął się. W tym uśmiechu kryło się coś więcej niż tylko wdzięczność za miłe towarzystwo.

- Od wieków nie tańczyłam, ale jeśli nie będziesz narzekał, że ci depczę po palcach, to zgadzam się z rozkoszą. - Lynn wzięła Jima pod ramię i oboje zniknęli w tłumie.

Scott obserwował tę scenę z ciekawością. Od śmierci

ojca upłynęło pięć lat, a matka była wciąż młodą, pełną życia kobietą. Powinna się umawiać na randki i prowadzić życie towarzyskie. Jim Dalton był bardzo miłym człowiekiem, w dodatku wdowcem. Scott pochwalał to, co się działo.

- Wygląda na to, że twoja sta... to znaczy Lynn ma faceta. - Billy uśmiechnął się łobuzersko.

Scott podniósł głowę i spojrzał uważnie na chłopca.

- Jesteś bystrym obserwatorem, nieprawdaż?

- Widzę wszystko, stary. - Billy spojrzał przez salę na Katherine, potem przeniósł wzrok na Scotta. - Widzę wszystko... Wiesz, Jenny wciąż się o ciebie dopytuje. - Tym celnym strzałem Billy zakończył wypowiedź. Obrócił się i ruszył w stronę bufetu, pozostawiając Scotta samego.

Scott gubił się we własnych myślach. Uwaga Billy'ego wzruszyła go. Tęsknił za Jenny, za jej śmiechem, złotymi lokami rozsypującymi się na wszystkie strony i za wspaniałymi chwilami, które przeżywali razem; Katherine, Jenny i on.

Przez dwie godziny Katherine nie znalazła sposobności, aby porozmawiać ze Scottem. Tyle czasu upłynęło już, odkąd znalazł raport i obawiała się, że *jeśli* sprawa nie zostanie rozwiązana szybko, to może być za późno.

R.J. Fairchild spędził większość wieczoru w towarzystwie swych współpracowników, pilnując, aby hojną ręką wsparli przedsięwzięcie. Gdy sprawy zostały załatwione, wmieszał się w tłum, poznając nowych ludzi i czerpiąc przyjemność z życia towarzyskiego. Od trzech lat nie mógł już aktywnie uczestniczyć w interesach. Dlatego przyjęcia, organizowane przez Katherine po każdej aukcji, sprawiały mu tyle radości. Teraz kierował się w stronę Scotta, ale po drodze zatrzymał się, aby porozmawiać z Jimem Daltonem. Jim przedstawił go Lynn.

- Cieszę się, że wreszcie mamy okazję się poznać, Lynn. Katherine opowiadała o tobie wiele dobrego.

Wymieniając uścisk dłoni, Lynn zwróciła uwagę na inteligencję i ciekawość kryjące się w oczach starszego pana.

- Ma pan wspaniałą wnuczkę, panie Fairchild. Bardzo się cieszę z naszej współpracy.

- Proszę, mów do mnie R.J. O ile wiem, ty z kolei masz wspaniałego syna. Chciałbym go poznać.

Scott poczuł skurcz żołądka, gdy ujrzał, że Jim Dalton, R.J. Fairchild i Lynn kierują się w jego stronę. Przez cały wieczór udawało mu się uniknąć spotkania z R.J. i miał nadzieję, że tak będzie do końca przyjęcia.

Lynn dokonała prezentacji. Scotta zaskoczyła siła, z jaką starszy pan uściśnął mu rękę, wiedział bowiem już wcześniej, że R.J. ma około osiemdziesiątki i jest przykuty do wózka.

- Więc to ty jesteś tym młodym człowiekiem, który spowodował takie poruszenie. Bez przerwy słyszę: Scott to, Scott tamto. Nawet mała Jenny mówi tylko o tobie. - R.J. spostrzegł wyraz czułości, który pojawił się w oczach Scotta na wspomnienie Jenny. - Stanowisz główny temat rozmów, zwłaszcza prowadzonych przez Katherine. - Przerwał na chwilę, jakby chciał uporządkować myśli, po czym kontynuował ostrożnie. - Być może jestem w stosunku do niej zbyt opiekuńczy...

- Dziadku! - nerwowo okrzyk Katherine przerwał te słowa - Mam nadzieję, że nie wyjawiałeś właśnie żadnych rodzinnych tajemnic? - Zmusiła się do uśmiechu. Scotta uderzyła próba ukrycia i tak widocznego zdenerwowania. Zauważył spojrzenie, jakie wymieniła z R.J. Z pewnością chodziło o coś więcej, niż wynikało z rozmowy.

Katherine nagle zmieniła temat. Przywołała Billy'ego z drugiego końca sali.

- Billy, chciałabym cię komuś przedstawić. Dziadku, to jest Billy Sanchez, opowiadałam ci o nim.

Chłopiec wytrzymał spojrzenie R.J., zanim ten wyciągnął do niego rękę.

- Witam, młody człowieku. Miło cię poznać. - Uściśnęły sobie dłonie. - Katherine kilkakrotnie o tobie wspominała.

Billy nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nagle Lynn wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu chłopca.

- Myślę, że nadszedł moment, aby ogłosić naszą nowinę. - Uśmiechnęła się do Billy'ego zachęcająco.

- Hm... no tak, ale nie pogniewam się, jeśli ty to zrobisz. - Chłopak był tak zakłopotany, że prawie się zaczerwienił.

- Panie, panowie. - Lynn chciała, aby cała zgromadzona grupka wysłuchiwała jej uważnie. - Mam coś do zakomunikowania. W ostatni czwartek pan Billy Sanchez zdał wszystkie egzaminy potrzebne do uzyskania dyplomu szkoły średniej.

- To nic takiego - wymamrotał Billy speszony.

Katherine uściśnęła go i gorąco ucałowała.

- Cudownie, jestem z ciebie taka dumna, Billy.

Jim i R.J. również mu pogratulowali. Scott położył ręce na ramionach chłopca i uśmiechnął się szeroko.

- Więc to takie sprawy załatwiliście z mamą. Pamiętam, jak mówiłeś, że chcesz pracować tak, jak ja. Zrobiłeś już duży krok naprzód. - Scott zwrócił się do matki. - Jak widać, nauczyciela nie można tak *po* prostu wysłać na emeryturę, i tak zostanie nim do końca życia. - Mrugnął wesoło. - No powiedz, czy to nie jest lepsze od pracy w ogrodzie?

Przyjęcie zbliżało się ku końcowi. Scott zerknął na zegarek.

- Robi się późno - zwrócił się do R.J. - Myślę, że chciałby się już pan nas pozbyć i wreszcie odpocząć.

- Niezupełnie, młody człowieku. Przez cały rok

czekałem na ten wieczór. - R.J. nie chciał, aby Scott wyszedł, przynajmniej dopóki Katherine nie zdoła się z nim rozmówić. - Lubię zwłaszcza te chwile, gdy większość gości już sobie pójdzie, wtedy mogę sobie uciąć pogawędkę z ciekawymi ludźmi. - R.J. skierował fotel w stronę werandy, a ponieważ nie przestawał mówić, Scott był zmuszony iść za nim. - Powiedz mi teraz...

Scott nie wiedział, kiedy minęło następnych kilka godzin. Zdziwiło go, jak interesującym człowiekiem okazał się R.J. Nagle zdał sobie sprawę, że w domu zapanowała cisza. Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że minęła już trzecia.

- Nie wiedziałem, że jest tak późno, naprawdę muszę iść. - Wstał i wyciągnął rękę do R.J. - To była dla mnie wielka przyjemność, móc z panem porozmawiać.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że w przyszłości częściej cię będę widywał.

Scott nie wiedział, co odpowiedzieć. Poczł narastającą panikę, gdy dotarło do niego, że R.J. próbuje go wy badać. Ile wiedział? Ile Katherine mu powiedziała? Scott zapragnął natychmiast wyjść. Pomyślał nagle, że w domu prawdopodobnie nie ma już nikogo poza nią. Ogarnęło go przerażenie na myśl, że spotka się z Katherine sam na sam.

- Ja... naprawdę muszę już iść. Mieszkam daleko stąd. Cieszę się, że pana poznałem. Dobranoc panu.

Scott szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. Gdy dochodził do drzwi, spostrzegł Katherine. Siedziała w fotelu, miała zamknięte oczy i prawdopodobnie spała. Scott zatrzymał się na chwilę, aby jej się przyjrzeć. Wyglądała jak mała dziewczynka, zagubiona w wielkim domu. Bardzo chciał do niej podejść i wziąć ją w ramiona.

Tak należała na rozmowę z nim. Czy piętnaście tysięcy dolarów było kolejną desperacką próbą zmu-

wienia go do rozmowy, czy też miało udowodnić, zarówno jemu, jak i całemu światu, że stał się jej własnością? I gdy teraz na nią patrzył, nie potrafił myśleć o niczym innym niż o tym, jak bardzo ją kocha. Niechętnie zamknął za sobą drzwi.

Telefon Katherine dzwonił przez całą niedzielę, począwszy od ósmej rano, zanim jeszcze zdążyła się obudzić. Pierwsza zadzwoniła Liz. Była zupełnie wyczerpana, ponieważ przez całą noc liczyła zebrane pieniądze, ale w jej głosie brzmiał entuzjazm.

- Niesamowity sukces! Zebraliśmy ponad pół miliona dolarów, a pieniądze wciąż napływają!

- Pół miliona? Nie żartujesz? - Katherine usiadła gwałtownie na łóżku. Słuchała podniecona, gdy Liz odczytywała jej największe wpłaty. - O rany! Trzydzieści tysięcy dolarów od Richarda Bentley'a! Dziadek musiał mu chyba wywiercić dziurę w brzuchu, ten stary sknera pewnie dotąd przechowuje pierwszego dolara, jakiego w życiu zarobił.

- Mam tu jeden czek, który ci się na pewno spodoba. Wystawiony na sumę pięćdziesięciu dolarów przez pana Billy'ego Sancheza.

Katherine poczuła, że ma wilgotne oczy. Billy nie tylko ukończył liceum, ciężko pracował, kupił za zarobione pieniądze garnitur i krawat, ale jeszcze przekazał darowiznę na *cele* społeczne. Była z niego taka dumna!

- Szkoda, że go nie widziałas, Kat. Był tak speszony, że nie wiedział, jak się zachować. Tuż przed wyjściem z domu R.J. przyszedł do mnie, wyjął coś zdenerwowany, po czym wcisnął mi czek do ręki i wybiegł, jakby go kto gonił. Zadzwoniłam dziś do ośrodka, żeby mu podziękować. Cheryl powiedziała, że jeszcze śpi, więc nie chciałam go budzić.

Zaraz po rozmowie z Liz Katherine zeszła na dół



i wzięła gazetę spod drzwi. Zachmurzyła się; nie pominięto jej na żadnym zdjęciu. Jeszcze raz nazwisko Fairchildów okazało się dla dziennikarzy ważniejsze niż cel przedsięwzięcia. Zamieszczono nawet jej zdjęcie z Billym. Katherine roześmiała się na myśl, jak chłopiec wyjaśni to kolegom z budowy.

Telefon dzwonił przez cały dzień. Ale Scott się nie odezwał.

Scott usiadł na kanapie, aby wypić swą pierwszą kawę i przeczytać niedzielną gazetę. Minęło południe. Dotarł do domu po czwartej nad ranem, a udało mu się zasnąć dopiero po wschodzie słońca. Nie przestawał myśleć o Katherine, towarzyszyła mu nawet w snach.

Gdy przeglądał zdjęcia i artykuły, uderzyła go pewna prawidłowość; na podstawie reportażu można było odnieść wrażenie, że Katherine znajdowała się w centrum wszystkich wydarzeń. A przecież prawda wyglądała inaczej; podczas aukcji Katherine cały czas trzymała się z boku, z wyjątkiem chwili, gdy sama przystąpiła do licytacji. Całością kierowała Liz, podobnie rzecz się miała na przyjęciu.

Czy tak było zawsze? Katherine próbowała usunąć się w cień, bezskutecznie z powodu słynnego nazwiska? Właśnie tak to odebrał ostatniej nocy. Sprawozdanie zamieszczone w gazecie mijało się z prawdą. Scott przypomniał sobie, z jakim smutkiem powiedziała mu kiedyś, że trzeba po prostu przywyknąć do takiego życia. Może piętnaście tysięcy dolarów naprawdę znaczyło... Scott poczuł, że w miejsce dotychczasowej rozpaczy zaczyna się wkradać nadzieja.

Scott jechał do matki. Przyszło mu nagle do głowy, że powinien był wcześniej zadzwonić, ale nie zawrócił

już z drogi. Chciał się z nią wybrać na kolację do Sausalito, do ich ulubionej restauracji. Jadąc rozmyślał o Katherine i Jenny i tęsknił za chwilami, które spędzili razem.

- Nie jestem jeszcze gotowa... - Lynn urwała, gdy ujrzała go w otwartych drzwiach. - Scott, kochanie! Co ty tu robisz? - Była całkowicie zaskoczona.

- Tak się wita ukochanego syna? - Uśmiechnął się wesoło, jednak uśmiech zniknął, gdy Scott spostrzegł, że Lynn była ubrana do wyjścia. - Zdaje się, że wpadłem nie w porę? To chyba nie jest kombinezon do pracy w ogrodzie.

- Bardzo się cieszę, że wpadłeś. Nie stój w progu, wejdź wreszcie.

- Pomyślałem, że może wybierzemy się na kolację do Sausalito. Dawno tam nie byliśmy.

- Dziś to niemożliwe. Jestem już umówiona.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią zdziwiony. - A z kim? - Nagle zrozumiał i na jego twarz wypłynął z wolna łobuzerski uśmiech. - Masz randkę z Jimem Daltonem.

- To niezupełnie „randka”. - Lynn zarumieniła się. - Na randki chodzą młodzi ludzie, jak ty i Katherine. My po prostu idziemy razem na kolację, to wszystko.

Trudno było nie spostrzec bólu, jaki pojawił się na twarzy Scotta na wspomnienie imienia Katherine. Lynn postanowiła zaryzykować.

- Co się stało, kochanie? Wydaje mi się, że ostatnio wam się nie układa. Macie jakieś kłopoty?

- Nic się nie stało... - Scott próbował ukryć zmieszanie, nie mógł jednak mówić, za bardzo drżał mu głos. ,

- Wiesz, że nigdy nie wtrącam się do twojego prywatnego życia. Nie ma nic gorszego niż matka, która traktuje dorosłego syna jak małego chłopca. Ale tym razem chcę, żebyś mnie wysłuchał. - Lynn usiadła

na kanapie i ruchem ręki zaprosiła go, żeby zajął miejsce obok. - Wiesz, że bardzo kochałam twojego ojca. Był najlepszym i najbardziej troskliwym człowiekiem, jakiego znałam. I najbardziej upartym. I sądzę, mój drogi, że jeśli chodzi o upór, to ty bijesz go na głowę.

- O czym ty mówisz? - Scott spojrział na nią zdumiony.

- Mówię o tobie i Katherine. Biedna dziewczyna jest zupełnie zrozpaczona, a z tobą w ogóle nie można się dogadać. Nie wiem, co między wami zaszło, ale jestem pewna, że twój upór nie pomaga w rozwiązaniu problemu. - Poklepała go przyjaźnie po policzku i wstała z kanapy. - To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. Teraz mam „randkę”, a ponieważ nie jestem jeszcze gotowa, muszę cię wyprosić. - Lynn wyprowadziła kompletnie zdezorientowanego Scotta za drzwi w chwili, gdy Jim Dalton podjeżdżał przed bramę.

- Poproszę piwo, Terry. - Scott osunął się na stołek przy barze. Wstąpił do pubu nad zatoką, kilka przecznic od własnego domu. Wziął pełną garść orzeszków i bezmyślnie włożył parę do ust. Patrzył przez okno na ocean.

Barman napełnił kufel i postawił na ladzie.

- Proszę, Scotcie - powiedział, ale nie doczekał się podziękowania. Jego klient patrzył pustym wzrokiem w okno. - Hej, jesteś tu?

- Co? Och, przepraszam, Terry. Zamyśliłem się. - Scott sięgnął po kufel.

- Cześć, Scotcie. - Susan zarzuciła mu ręce na szyję. Pracowała w pubie jako barmanka. - Dawno cię nie widzieliśmy. Gdzie się podziewałeś?

Scott nie zwracał uwagi na jej prowokacyjne zachowanie.

- Dużo pracowałem. Zajmowałem się nowym projektem.

- I chyba nie tylko nim. - Terry roześmiał się. - Nieźle wyszedłeś na zdjęciu z tą słynną Katherine Fairchild!

- Daj spokój, Terry - Scott był najwyraźniej zirytowany. - To była aukcja, nic więcej.

- Powiedz mi, Scotcie... - Susan objęła go. - Co sprawa, że jesteś wart piętnaście tysięcy dolarów?

Patrzył na Susan, ale jej naprawdę nie widział, zdumiony tą nową myślą. Rzeczywiście, co sprawiło, że był wart piętnaście tysięcy dolarów? Przecież nie mogło chodzić tylko o udowodnienie własnej racji czy jakąś głupią grę. Sięgnął do kieszeni.

- To za piwo. - Rzucił pieniądze na ladę i ruszył w stronę drzwi, pozostawiając Terryego i Susan w całkowitym osłupieniu. Szedł do domu, a rześkie powietrze wieczoru działało kojąco. Wracali do niego słowa matki, a przed oczami miał ciągle obraz Katherine skulonej w fotelu koło frontowych drzwi domu R.J. Nie czuł w tej chwili nic, poza bezbrzeżną miłością do niej. Wydawało mu się, że przemyślał już wszystko, ale teraz wiedział, że się mylił.

Telefon wreszcie przestał dzwonić i Katherine mogła odpocząć. Czuła wyczerpanie fizyczne i emocjonalne. Kilka razy w ciągu tego dnia sięgała po telefon, żeby zadzwonić do Scotta. Niestety, zbyt wiele osób pragnęło porozmawiać z nią o wczorajszej imprezie.

Wyrzucała sobie, że usnęła wtedy w fotelu. Gdy dziadek obudził ją i powiedział, że Scott już wyszedł, miała wrażenie, że zaprzepaściła ostatnią szansę. Ale była po prostu zbyt zmęczona, żeby przewyciężyć senność.

Leżała na łóżku, patrząc w sufit i zastanawiała się, co przyniesie przyszłość i jak sobie poradzi bez Scotta.

Katherine Sutton Fairchild, nie wolno ci rezygn-

nować, powiedziała nagle do siebie. Nie wystarczy zdać się na los, trzeba nim kierować. Skoro straciłam jedną okazję, to trzeba poszukać następnej. Nie przestanę walczyć, dopóki Scott nie przytuli mnie i nie powie, jak bardzo mnie kocha.

Katherine poprawiła poduszkę, odwróciła się i zamknęła oczy.

Scott też leżał na łóżku i patrzył w sufit, próbując uporządkować myśli. Miniony tydzień był najgorszy w całym jego życiu. Zapadł w końcu w nerwowy sen. Jakieś obrazy i strzępki informacji wypływały z podświadomości, jakby próbując połączyć się w logiczną całość. Obudził się gwałtownie. Na dworze było już jasno. Musiał spać niespokojnie, ponieważ koce i prześcieradła były zupełnie splątane. Scott miał w głowie tylko jedną precyzyjną myśl; źle zrobił, nie chcąc wysłuchać Katherine. Matka miała rację; był cholernym, upartym głupcem. Może nie wyraziła się w ten sposób, ale dokładnie tak myślała.

Wziął prysznic, ubrał się i podszedł do telefonu. Drżącą ręką nakręcił numer Katherine. Usłyszał kilkakrotny sygnał, ale nikt się nie odezwał, nawet automatyczna sekretarka nie była włączona. Odłożył słuchawkę na widełki.

Katherine stała pod prysznicem, splukując szampon z włosów, gdy wydało jej się, że słyszy dźwięk telefonu. Zakręciła kurek, nasłuchując, ale w domu panowała cisza. Szybko wytarła się, wysuszyła włosy, ubrała się i wybiegła z domu. Była już spóźniona.

Po zebraniu wstąpiła do kwaciarni i wybrała bukiet. Zastanowiła się nad treścią kartki, jaką zamierzała dołączyć.

Następnie ruszyła na zakupy. Był ostatni dzień

października, święto Halloween i miała zamiar zabrać Jenny na tradycyjną zabawę. Posmutniała nagle, do szczęścia brakowało tylko jednego - Scotta.

Katherine uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie rozradowanej buzi Jenny. Dziewczynka chciała dostać strój księżniczki z koroną i czarodziejską różdżką. Ale uśmiech zniknął, gdy Katherine przypomniała sobie, czego jeszcze pragnęła Jenny - tego, aby Scott poszedł z nimi. Nie wiedziała, co jej powiedzieć, więc wytłumaczyła, że Scott ma dużo pracy i chyba nie przyjdzie. Serce ścisnęło się jej z żalu, gdy w oczach Jenny ujrzała wyraz rozczarowania.

Scott pojechał na budowę do San Rafael. Odbył naradę z Johnem Barclayem, a później poszedł przyrzec się, jak postępują prace budowlane.

Załoga miała akurat przerwę na poranną kawę. Zauważył grupę mężczyzn skupionych wokół Billy'ego, jeden z nich trzymał niedzielną gazetę.

- Tak, znamy się z Kat od dawna - usłyszał głos chłopca. Popularność Billy'ego wśród załogi najwyraźniej wzrosła po wczorajszym przyjęciu.

Po przyjeździe do pracy Scott znów wykręcił numer Katherine, ale nikt nie podniósł słuchawki. Zadzwoił więc do biura, ale tam jej dzisiaj nie widziano. W Oakland telefon odebrała Cheryl i dość chłodno poinformowała go, że Katherine nie ma w ośrodku.

Zaraz po lunchu do pokoju wkroczyła Amelia, niosąc bukiet kwiatów. Była wyraźnie poirytowana.

- Panie Blake, może jednak rozwiąże pan jakoś tę sytuację, mam już tego dosyć. - Podała mu list. *Myszę, że te kwiaty będą ładnie wyglądać w Twoim biurze*, napisano na kopercie. Scott uśmiechnął się.

Amelia, zaskoczona, zawahała się, ale ostatecznie

zabrała kwiaty i wyszła, taktownie zamykając za sobą drzwi.

Scott czuł przyspieszone bicie serca. Katherine wciąż próbowała skontaktować się z nim. Nie skreśliła go, choć miała do tego pełne prawo. Drżącymi palcami wyjął otworzył kopertę i wyjął bilecik.

*Dziś wieczorem zabieram Jenny na zabawę. Proszę, przyjdź.*

Scott przeczytał kartkę jeszcze raz i z wolna zaczęło go ogarniać poczucie szczęścia, pierwszy raz od tamtej fatalnej niedzieli.

Spojrzał na zegarek. Musiał znaleźć sobie odpowiedni kostium. Ruszył w stronę drzwi, ale nagle zawrócił. Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej małe aksamitne pudełeczko.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Katherine przyjechała do Oakland, żeby zabrać Jenny. Nie widziała nigdzie Cheryl i nie mogła na nią czekać, jeśli chciała zdążyć do domu przed godziną szczytu.

Dziadek obiecał, że przyjedzie do niej i zjedzą razem wczesną kolację, a później zostanie sam w domu, żeby częstować cukierkami dzieci, które zapukają do drzwi. Katherine roześmiała się. Zastanawiała się, co powiedzieliby pracownicy firm należących do Fairchildów, gdyby dowiedzieli się, że R.J. Fairchild uczestniczy w świątecznych figielkach.

Dziadek zabierał ją na Halloween, kiedy była małą dziewczynką, zanim jeszcze matka... Katherine spojrzała na Jenny, przypiętą pasami do siedzenia samochodu.

Obiecuję, że nigdy nie zabraknie ci zabawek i radości. Zawsze będziesz miała kogoś, kto cię kocha, pomyślała z czułością. Wyciągnęła rękę i dotknęła złotych loków dziewczynki.

- Czy Scott tam będzie? - Jenny patrzyła na nią wyczekująco.

- Nie wiem, kochanie. Powiedział, że się postara.

Jenny była tak podniecona, że nie mogła stać spokojnie. Podskakiwała i klaskała w ręce, gdy Katherine wkładała jej kostium. Wszystko już było gotowe i czekały tylko na dziadka. Słyszac, że pod dom podjeżdża samochód, dziewczynka wyrwała jej się i zbiegła pędem po schodach.

- Scott! Scott!

- Jenny, zaczekaj chwilę. Nie biegnij tak szybko, zrobisz sobie coś złego! - Katherine zeszła za nią na dół.

Scott mierzył wszystkie kostiumy, jakie były w sklepie. Żaden mu nie odpowiadał, w końcu więc kupił tylko maskę. Robiło się późno, a chciał zdążyć do domu Katherine, zanim obie wyjdą na zabawę. Dzwonił do niej kilkakrotnie, ale numer był wciąż zajęty.

Podjechał pod jej dom i zaparkował przy krawężniku. Ogarnęło go uczucie paniki, gdy przed wejściem spostrzegł limuzynę i samochód policyjny.

- R.J.! - Zdumiał się, gdy starszy pan otworzył mu drzwi. Ogarnęło go przerażenie, gdy w środku ujrzał dwóch policjantów. Po chwili jeden z nich wyszedł na dwór.

Scott wszedł do środka. Z trudem wyszeptał:

- Co się stało? Katherine...?

- Z Katherine wszystko w porządku. Jest w sypialni. - Scott natychmiast rzucił się do schodów, ale powstrzymały go dalsze słowa R.J. - Chwileczkę, młody człowieku. Z Katherine wszystko w porządku... fizycznie. Psychiczenie raczej nie. Jenny zniknęła. - Zauważył przerażenie, jakie pojawiło się na twarzy Scotta. - Usłyszała samochód zajeżdżający przed dom i myślała, że to ty. Wybiegła na dwór, zanim Katherine zdążyła ją zatrzymać i gdzieś zniknęła. Katherine szukała jej przez pół godziny, potem zawiadomiła policję.

- Dlaczego Jenny sądziła, że to ja? - Scott zdał sobie sprawę, że zadał głupie pytanie, zanim skończył mówić.

- Ponieważ dopytywała się o ciebie od tygodnia i nie przestawała pytać Katherine, czy pójdziesz z nimi na zabawę. - R.J. spojrzał na niego zimno.

Widział jego zdenerwowanie, ale uważał, że pytanie było wyjątkowo niestosowne. - Katherine nie wiedziała, co jej odpowiadać. Nie chciała obiecywać, że przyjdiesz i narazić małą na wielkie rozczarowanie, gdybyś się nie zjawił.

Słuchając R.J., Scott czuł się, jakby mu wbijano nóż w serce. Własne cierpienie w minionym tygodniu zamknęło mu oczy na cierpienia innych. Znowu odwrócił się w stronę schodów. Jego głos drżał teraz od skrywanych emocji.

- Pójdę do Katherine. Ona musi strasznie martwić się o Jenny i... gniewać na mnie.

- Zanim pójdziesz... - R.J. wyciągnął rękę i chwycił Scotta za ramię - opowiem ci historię, historię o małej dziewczynce.

Scotta ogarnęła irytacja. Nie chciał teraz tracić czasu, chciał pójść do Katherine, uspokoić ją i prosić o przebaczenie. Dotknął aksamitnego pudełka w kieszeni marynarki. Chciał powiedzieć Katherine, jak bardzo ją kocha.

- Znam całą historię Jenny.

- Nie mówię o Jenny. - R.J. wymawiał słowa ostrożnie, jakby wahał się pomiędzy dotrzymaniem obietnicy danej Katherine a koniecznością wynikającą z obecnej chwili. - Chcę ci opowiedzieć historię dziewczynki, która, jak sądzono, miała wszystko, czego zapragnęła. Pamiętaj, to tylko historia. Możesz ją zinterpretować, jak zechcesz.

Sypialnia pogrążona była w półmroku. Scott obserwował Katherine, która stała na tarasie, patrząc w ciemność. Miała splecione ramiona, jakby chroniła się przed zimnym i wilgotnym powietrzem nocy. Czują całkowite odrętwienie, po policzkach sływały jej łzy. Jak mogła być tak nieostrożna i pozwolić Jenny wyjść samej z domu?

Jeśli coś jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę, powtarzała w myśli.

- Katherine?

Przestraszyła się, nie wiedziała, że ktoś wszedł do pokoju. Obróciła się i stanęła twarzą w twarz ze Scottem. Nie wiedziała, co ma zrobić, więc po prostu stała bez ruchu. W końcu odezwała się drżącym głosem:

- Ona jest gdzieś tam w ciemności, zupełnie sama i zagubiona.

Scott widział strach na jej mokrej od łez twarzy. Czuł dziwny ból w okolicach serca.

- Tak jak ty?

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc. W końcu dotarło do niej, co miał na myśli. Opuściła wzrok.

Podszedł do niej i szepnął:

- Zachowywałem się jak kompletny osioł.

Katherine nie potrafiła określić tego, co czuje. Odrtwienie powoli mijało, jakby słowa Scotta miały magiczną moc. Znalazła się nagle w jego ramionach. Nie miała siły, aby wdawać się z nim teraz w dyskusję. Wypowiedziała tylko pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy:

- Masz rację, zachowywałeś się jak kompletny osioł.

Zostało to powiedziane bez gniewu ani pretensji. Scott uśmiechnął się szczerze.

- Widzę, że znaleźliśmy nić porozumienia. Czy będziesz mogła kiedykolwiek mi przebaczyć?

Zadrzała, ogarnięta nagłym wzruszeniem. Próbowała powstrzymać szloch.

- Dziadek opowiedział ci wszystko, tak? Obiecał, że tego nie zrobi. Chciałam, żebyś do mnie wrócił, dlatego że sam chcesz, a nie dlatego, że się nade mną litujesz...

- Opowiedział mi historię, tylko historię - wyszeptał Scott. Przytulił ją mocniej do siebie. - Proszę, przebac mi, Katherine. Ten raport już nie ma znaczenia. Ważne

jest, że możemy być razem. - Scott odetchnął głęboko. Mimo że sytuacja nie ułatwiała mu zadania, musiał powiedzieć Katherine, że ją kocha i chciał to zrobić teraz. Oparł policzek o jej głowę. - Kocham cię, Katherine i nie chcę, żebyśmy się znowu rozstali.

Katherine nigdy jeszcze nie czuła takiej euforii.

- Och, Scott, nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo cię kocham. Kochałam cię od chwili, gdy po raz pierwszy podaliśmy sobie ręce w twoim biurze.

- Zatem jesteś szybsza niż ja. Ja zakochałem się w tobie parę godzin później, w windzie w Hyatt. - Nie przestawał jej przytulać, gładzić włosów, całować dłoni.

A jednak ta chwila, kiedy wyznawali sobie miłość, była niepełna. Oboje byli rozdarci między dwiema skrajnościami: wszechogarniającą radością i wielkim niepokojem o los Jenny. To, co powinno być jedną wielką euforią, zamieniało się w coraz większą panikę, a czas mijał nieubłaganie.

Objęci usiedli na łóżku. Dzwonek przy drzwiach dzwięczał bez przerwy i Katherine za każdym razem zrywała się na równe nogi, ale były to tylko dzieci. R.J. całkowicie wziął na siebie rozdawanie cukierków. Katherine uniosła głowę i spojrzała Scottowi w oczy.

- Minęły już dwie godziny. Scott, gdzie ona jest?

- Jestem pewien, że nic jej się nie stało. Nie martw się. - Sam chciałby wierzyć we własne słowa.

- Och, Scott... nie wiem, co zrobię, jeśli jej się coś stanie. - Usłyszał jej rozpaczliwe westchnienie, kiedy rozległ się kolejny dzwonek. Katherine próbowała powstrzymać łkanie, ale po policzkach płynęły już łzy. Przytuliła się do niego.

Scott usłyszał szum, jakby włączono jakieś urządzenie. Nagle rozsunięły się drzwi koło schodów i w niewie-

kiej windzie ukazał się R.J. Na jego kolanach siedziała śliczna dziewczynka przebrana za księżniczkę. Jenny roześmiała się, gdy R.J. zwolnił hamulec wózka i wjechał do pokoju.

Katherine miała zamknięte oczy i głowę opartą o ramię Scotta. Głosem drżącym ze wzruszenia Scott powiedział:

- Kochanie, spójrz.

- Jenny! - Katherine zerwała się z łóżka i chwyciła małą w objęcia. W tej chwili płakała ze szczęścia.

- Nic ci się nie stało, maleństwo ty moje? - Tuląc Jenny do piersi, zwróciła się do dziadka. - Gdzie ją znaleźli?

- Policjant, który ją przyprowadził, mówił, że przyłączyła się do grupy dzieci i razem z nimi wyruszyła na cukierki-figielki. Matka, która pilnowała dzieci, dopiero po godzinie zorientowała się, że ma dodatkową podopieczną. Usiłowała dowiedzieć się, kim jest Jenny i gdzie mieszka, ale jedyną odpowiedzią było: „w domu Kat”, zadzwoniła więc na policję.

- Chyba nic jej się nie stało. - Katherine uważnie patrzyła na Jenny.

- Ależ nic. Policjant twierdzi, że wybornie się bawiła.

- Scott! Scott! - Jenny była uszczęśliwiona. - Poszliśmy do jednego domu, gdzie była czarownica i wszyscy się bali, ale ja nie. A w drugim domu spotkaliśmy ducha, ale to nie był prawdziwy duch, tylko taki pan, który się przebrał.

Scott wziął dziewczynkę na ręce. Jenny ucałowała go w policzek, a potem mocno objęła rączkami za szyję.

- Myślę - odezwał się R.J. - że nie jestem już wam potrzebny. Wracam na dół i zjem trochę cukrowej warty. - Z tymi słowami skierował się do windy.

- Jenny, tak się o ciebie martwiłam. Nie powinnaś była sama wychodzić. Mogło ci się *coś* stać. Scott

chciał pójść razem z nami na zabawę i martwił się, co się z tobą stało.

- To prawda, Jenny. - Scott pogłaskał ją po policzku. - Wszyscy się o ciebie martwiliśmy.

Jenny ziewnęła. Przeżyła dziś wielką przygodę, jak na swoje trzy lata i była wyczerpana. Scott zaniósł ją do gościnnego pokoju i położył do łóżka. Wciąż miała na sobie kostium, Katherine zdjęła jej tylko buciki. Gdy przykryła ją i pocałowała w policzek, Jenny spała już mocnym snem.

- Dobranoc, Jenny.

Scott zgasił światło i objawszy Katherine, zaprowadził ją do sypialni. Kamień spadł im z serca, gdy Jenny się znalazła, i *to me tylko* cała i zdrowa, ale w dodatku zachwycona przygodą, jaką przeżyła.

Usiedli na łóżku i Scott przytulił Katherine. Przesunął palcami po jej policzku i powiedział cicho:

- Nie martw się już o Jenny. Nic złego jej się nie stało.

- Mam nadzieję. - Wielki stres, w którym Katherine znajdowała się przez parę godzin, minął i czuła się teraz zupełnie wyczerpana. Stłumiła ziewanie.

- Jesteś zmęczona. - Scott pocałował ją w policzek.

- Pójdę do domu. Może zjemy jutro razem kolację?

- Skąd mogę mieć pewność, że wrócisz? - Katherine spojrzała mu głęboko w oczy.

- Katherine, proszę... - Objął ją mocniej. - Proszę, przebac mi. Tak bardzo cię kocham. - Pochylił się i musnął jej wargi, a po chwili już zatracili się w namiętym pocałunku.

Palce jej drżały, gdy dotknęła jego policzka.

- Nie, nie idź. Dziadek niedługo wyjdzie i zostaniemy sami. Będziemy mogli poznać się od nowa.

- Chciałbym tego. Bardzo.

- Zejdźmy piętro niżej. Rozpalisz ogień w kominku, a ja sprawdzę, jak dziadek radzi sobie na dole... Myślę, że większość dzieci zakończyła już zabawę.

Scott przystanął w drzwiach, aby spojrzeć na Jenny. Dziewczynka spała spokojnie, więc przeszedł przez korytarz do pokoju wypoczynkowego i zaczął rozpałać ogień.

Katherine podeszła do dziadka, który siedział w pobliżu drzwi.

- Jak ci idzie, dziadziu?

- Właśnie miałem po ciebie pójść. Myślę, że mogę już zamknąć sklep i zazać Jamesowi, żeby odwiózł mnie do domu. - Zerknął na schody, upewniając się, czy są z Katherine zupełnie sami, po czym pochylił się ku niej i spytał cicho: - Jak się układa ze Scottem? Chyba stało się tak, jak chciałaś; przyszedł tu z własnej woli.

- Nie wiem, co mam z tobą zrobić, dziadziu. - Usiłowała spojrzeć na niego surowo, ale jej się to nie udało. - Obiecałeś mi, że nie będziesz się wtrącał, a potem opowiadasz mu o... - Głos jej się załamał. Scott może i przyszedł z własnej woli, ale dlaczego został? Dlatego, że ją kocha, czy...

- Katherine, wiem, że czasem uważasz mnie za starego wścibskiego głupca, ale wiesz, jak cię kocham. Chcą tylko, żebyś była szczęśliwa... Zaslugujesz na to.

- Wiem, dziadziu, wiem. - Pochyliła się i pocałowała go w policzek, po czym wstała, żeby mu przynieść płaszcz. Szofer pomógł R.J. wsiąść do samochodu. Katherine zamknęła drzwi na zasuwę, zgasiła światło i poszła na górę.

Scott siedział na podłodze pośród wielkich poduszek. Nalał wino do dwóch kieliszków. Gdy usłyszał, że Katherine wchodzi po schodach, sięgnął do marynarki, aby upewnić się, że pudełeczko ciałe jest w kieszeni. Czuł zdenerwowanie. Katherine nie powiedziała, że mu przebacza. Powiedziała tylko, że go kocha, i że chce, aby został.

Katherine przystanąła w drzwiach. Pokój oświetlały

jedynie płomienie ognia, rzucające cienie na ściany i na twarz Scotta. Tak bardzo go kochała. Miała nadzieję, że wyrzuci ostatni tydzień z pamięci i dojdą do porozumienia.

-Widzę, że nalałeś wino. Takie cukierki-figielki dla dorosłych? - Uśmiechnęła się do niego.

- Nie cukierki, tylko figielki. - Zażartował i uśmiechnął się. - Usiądź koło mnie.

Usiadła przy nim na poduszce. Podając wino, musnęła palcami jej rękę. Wzniósł kieliszek i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Kocham cię, Katherine. - Słowa u więzły mu w gardle, czuł wielkie wzruszenie. -I przepraszam cię. Przepraszam za wszystko, co musiałaś przeze mnie znieść. Nie zasługuję na to, ale powiedz, że mi przebaczasz. Muszę to usłyszeć, muszę wiedzieć, że to prawda.

Patrzyła na niego przez chwilę. W jego oczach czaił się niepokój. Pochyliła się ku niemu i pocałowała go z czułością.

- Kocham cię - wyszeptęła. - Oczywiście, że ci tym razem przebaczam. Ale nigdy więcej mi tego nie rób. Czegoś takiego nie przeżyłabym po raz drugi.

Scott odstawił kieliszek i przytulił ją do siebie.

- Czego pragniesz? - szepnął. - Czy jest coś, co mogę zrobić, abyś była szczęśliwa?

Katherine zadrżała. O co on pytał? Co naprawdę miał na myśli? To, czego pragnęła najbardziej, to domu ze Scottem i Jenny. Czy pragnęła zbyt wiele?

- Nie... nie wiem. - Spojrzała mu w oczy, jakby szukając w nich odpowiedzi. - A co chciałbyś mi dać?

Co chciał jej dać? To nie było trudne pytanie. Znał na nie odpowiedź, zanim jeszcze wyjechali razem na weekend. Teraz nadszedł czas, aby Katherine ją usłyszała.

- Myślę, że odpowiedź na twoje pytanie znajduje się w kieszeni mojej marynarki. - Wyjął pudełeczko i obrócił się w stronę Katherine.



Otworzyła szeroko oczy, najwyraźniej zaskoczona. Poczwała przyspieszone bicie serca. Czy mogła mieć nadzieję, że Scott chce ją poprosić o rękę? Bała się odetchnąć, patrząc, jak otwiera pudełko.

Diamenty chwyciły i odbijały światło ognia, pierścionek połyskiwał na tle czarnego aksamitu. Scott wyjął go z pudełka. Drżącą ręką wsunął jej pierścionek na palec.

- Wyjdź za mnie, Katherine. Chcę spędzić z tobą resztę życia.

- Jesteś pewien? - W jej oczach błysnęły łzy szczęścia. - Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

- Czy chcesz się z tobą ożenić? - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował gorąco. - Pragnę tego ponad wszystko w świecie.

Katherine chciała się jednak upewnić, czy w głębi jego duszy nie kryją się wątpliwości. A jeśli tak było, chciała je ujawnić.

-I nie przeszkadza ci, że jestem bogata i mogę sobie na wszystko pozwolić? Nie przeszkadza ci, że właściwie nie mam prywatnego życia, bo gdziekolwiek pójde, zawsze znajdzie się jakiś wścibiński reporter i zrobi mi zdjęcie? Nie przeszkadza ci, że wszystko, co robię, jest natychmiast komentowane w gazetach?

Scott czuł jej drżenie, gdy mówiła. Stawiała mu pytania, które sam sobie wielokrotnie zadawał.

- Nic mi nie przeszkadza, jeśli tylko jesteśmy razem. Kocham cię, Katherine.

- Mówisz tak teraz, ale co będzie za rok? - W jej oczach widział lęk i narastającą panikę. - A za pięć lat, Scott? Co wtedy się stanie? - Nie mogła powstrzymać łkania. Bała się jego odpowiedzi.

- Dopóki się kochamy, wszystko inne nie ma znaczenia, nic nie jest ważniejsze niż miłość do ciebie.

- Obserwowałam cię... obserwowałam cię na konferencji prasowej i na aukcji. I nie miałam wątpliwości,

że czujesz się fatalnie w świetle reflektorów. Co będzie, gdy... - Katherine była na krawędzi paniki i prawie nie mogła mówić. - Co będzie, gdy ktoś nazwie cię „panem Fairchild” zamiast mnie „panią Blake”? Czy potrafisz to znieść?

- Katherine, przerażasz mnie. Co ty mi próbujesz powiedzieć? - Głos mu drżał.

- Próbuję tylko przedstawić ci problemy, jakie się przed nami pojawiają. Problemy zupełnie wyjątkowe.

Scotta ogarnęła całkowita panika. Przycisnęła Katherine mocno do siebie.

- Kocham cię bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Wiem, że pojawią się problemy, które będziemy musieli przezwyciężyć. Ale stawimy im czoło razem. Miłość nam w tym pomoże. Wyjdź za mnie, Katherine.

Jej usta były tak blisko, że musnęły jego wargi, kiedy zadała ostatnie pytanie:

- A co z Jenny?

George Weddington rozłożył projekty na biurku Scotta.

- Wprowadziłem wszystkie zmiany, o które prosiłeś. Czy to wygląda tak, jak planowałeś?

-Wydaje mi się, że powinniśmy jeszcze przesunąć tę ścianę o jakieś półtora metra i dorzucić dodatkowy pokój, o którym rozmawialiśmy. - Scott pochylił się nad projektem. Jeśli zrobimy to w tym miejscu - wskazał palcem - to uda się ocalić wielki stary dąb, który rośnie obok.

- Jeśli nie przestaniesz nanosić zmian, to nigdy nie rozpoczniemy budowy. Już to widzę: zacznie się nowe stulecie, a ty wciąż będziesz przestawiał ściany i okna na papierze. Uśmiechnął się. - Wprowadzę zmiany dziś po południu.

- Obiecuję, że to już koniec.

Kiedy George wyszedł z biura, Scott oparł się w fotelu i obrócił w stronę okna. Na dworze było ciepło i sucho, Scott miał nadzieję, że taka pogoda utrzyma się przez jakiś czas. Nie chciał, żeby deszcz opóźnił realizację projektu. Spojrzał na zegarek. Musiał się zbierać; miał spotkanie z adwokatem, a zaraz potem drugie, bardzo ważne, w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zbocza gór pokryła warstwa śniegu i w tej bieli wody jeziora Tahoe wydawały się jeszcze bardziej błękitne. Gałęzie sosen pochyliły się nisko pod ciężarem śniegu. Duże mokre płatki tańczyły za oknem, a wszystko razem przywodziło na myśl widoczek ze świątecznej pocztówki. W kamiennym kominku buzował ogień, a w kącie przy drzwiach stały dwie pary nart, kijków i narciarskich butów.

Scott napełnił filiżankę Katherine gorącym aromatycznym jabłecznikiem z dodatkiem brandy, potem nalał drugą, dla siebie. Siedzieli na podłodze, grzejąc się przy ogniu. Scott pochylił się i pocałował Katherine w usta.

- Jesteś pewna, że nie powinniśmy wybrać się dziś na jakiś bal?

- Obawiam się, że jest to niemożliwe. - Zaśmiała się miękko i oddała mu pocałunek. - O tym, jak spędzić sylwestra, nie zaczyna się myśleć trzydziestego pierwszego grudnia po południu. Poza tym, wolę spędzić ten wieczór z dala od tłumów. - Przytuliła się do niego. - I tylko z tobą.

- Ja też. - Scott pocałował ją w policzek. Zamyślił się przez chwilę. - Jak długo możemy tu być zupełnie sami?

- Pojutrze przyjadą wujek Charlie i ciocia Rose, a pod koniec tygodnia zjawi się cała ich rodzina.

- O rany, czyli dzień po Nowym Roku musimy stąd wyjechać, bo inaczej pochłonie nas morze twoich krewnych.

- Nie jest to zbyt uprzejme z twojej strony - roześmiała się - ale masz absolutną rację.

Obrócił ją twarzą ku sobie i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Tak bardzo cię kocham. Jesteś całym moim życiem. - Pochylił się ku niej i namiętnie ją pocałował.

- Nigdy nie sądziłam, że można kochać kogoś tak bardzo, jak ja kocham ciebie. - Oddała mu równie namiętny pocałunek.

Ujął jej twarz w dłonie, nagle bardzo poważny.

- Wiem, że omawialiśmy to i zgodziłem się z tobą, ale nie mogę już czekać. - Wstał i pomógł jej się podnieść. - Teraz!

- Teraz?

- Tak. - Pociągnął ją za sobą, idąc w stronę drzwi.

- Katherine Sutton Fairchild, czy bierzesz tego oto mężczyznę...?

Scott ścisnął mocno dłoń Katherine, kiedy pastor rozpoczął ceremonię. Niewielka kaplica, w której udzielano ślubów, znajdowała się nad brzegiem jeziora, zaledwie parę ulic od rezydencji Fairchildów.

Kilka razy omawiali szczegóły tej uroczystości i żadne z nich nie miało ochoty na wystawny ślub i huczne wesele. Poza tym, jak słusznie zauważyła Katherine, było to jej drugie małżeństwo i gala nie była potrzebna. Scott wypytał ją ostrożnie; chciał się upewnić, czy nie zdecydowała tak ze względu na niego.

W końcu przekonała go, że na uroczystości komentowanej na pierwszych stronach gazet zależy jej dokładnie tak samo, jak jemu.

Uzgodnili, że pobiorą się w Dniu Świętego Walentego. Do tego czasu dom, który budował Scott, miał już być gotowy. Oboje od razu pokochali ten kawałek ziemi, porośnięty starymi dębami. Scott zlecił Georgo-

wi Weddingtonowi zaprojektowanie domu i gdy tylko plany były gotowe, na teren wkroczyła ekipa budowlana.

- Scotcie Justinie Blake'u, czy bierzesz tę oto kobietę...?

I chociaż oboje zgodzili się na cichy, pozbawiony rozgłosu ślub, żadne z nich nie sądziło, że ostatecznie pobiorą się zupełnie niespodziewanie w sylwestra, ubrani w stroje narciarskie. Ale Scott nie mógł już czekać, a Katherine, przewyciężywszy zdumienie, przystała na ten pomysł. I tak oto stali teraz przed pastorem, składając małżeńską przysięgę.

Katherine leżała w ramionach Scotta w wielkim wygodnym łóżku. Powoli przesunął rękę wzdłuż jej ciała.

- Noc poślubna, to jest to! - Spojrzał na nią, z uśmiechem. - Pani Blake, jest pani gotowa?

- Myślę, że tak, jeśli obiecasz, że będziesz dla mnie miły.

Scott obrócił się i posadził ją na sobie.

- Nie wiem, czy dam radę - wyszeptał jej do ucha. - Tak mnie podniecasz, że czasem tracę kontrolę nad tym, co robię. - Przesunął rękę w dół jej brzucha.

Czuła jego nabrzmiałą męskość. Głosem ochrypłym od pożądania wyszeptwała:

- Myślę, że zaryzykuję.

Ogarnęło ich absolutne szaleństwo. Kochali się z taką pasją i czułością, jaką tylko oni mogli sobie nawzajem ofiarować. Nic w tej chwili nie istniało, nic oprócz ich wielkiej miłości.

Zapach- świeżo zaparzonej kawy powoli przenikał do świadomości Katherine. Otworzyła oczy i wyciąg-

nęła rękę, ale Scotta nie było w łóżku. Już chciała wstać, gdy pojawił się w drzwiach, niosąc tacę ze śniadaniem.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że nie śpi.

- Dzień dobry, śpiochu. Już zaczynałem myśleć, że spędzisz w łóżku resztę życia.

- To chyba nie byłoby najgorsze. - Uśmiechnęła się figlarnie. - W zasadzie, dopóki jesteś ze mną, nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na spędzenie reszty życia.

Scott postawił tacę na stoliku i usiadł przy Katherine.

- Mnie też nic lepszego nie przychodzi do głowy. Kocham panią, pani Blake.

- Ja też pana kocham, panie Blake. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku.

- Na dworze jest wspaniale; słońce świeci, a powietrze jest czyste i mroźne. To pierwszy dzień roku i - pochylił się i pocałował ją czule - pierwszy wspólny dzień „reszty naszego życia”.

•

## EPILOG

Był ciepły letni poranek, pierwszego lipca. Scott wkroczył do sypialni, niosąc tacę ze śniadaniem.

- Kochanie, czy pamiętasz, że dokładnie pół roku temu zostałeś moją żoną? - Pocałował Katherine serdecznie.

- Mamo... mamó! - Jenny wpadła do pokoju. Scott w ostatniej chwili uniósł w górę tacę, zapobiegając katastrofie. - Zobacz, co Hopek zrobił z moją lalką.

Mały szczeniak wpadł do pokoju i usiłował wskoczyć na łóżko.

- Nie, nie wolno. - Scott podniósł pieska, podrapał go z czułością za uchem, po czym pouczył surowo. - Żadnych zabaw na łóżku.

- Tatusiu, możesz to naprawić?

Scott wziął lalkę do ręki.

- Zobaczmy, co da się zrobić. - Przyjrzał się; ręka lalki była wyrwana, ale nie uszkodzona. Mógł więc zaradzić nieszczęściu. - Wiesz, że nie powinnaś zostawiać zabawek na podłodze. Hopek jest jeszcze mały i gryzie wszystko, co napotka na swej drodze. - Scott przeszedł przez pokój i otworzył drzwi na taras, wpuszczając do środka świeże powietrze. - Jest piękna pogoda, pobawcie się na dworze.

- Chodź, Hopek! - Jenny wybiegła z pokoju, a psiak podążył za nią w radosnych podskokach.

- Spójrz na nią, Scott. Czy to nie cudowne? Jest wreszcie normalną, szczęśliwą dziewczynką. Od miesięcy nie śniło jej się nic złego. Tak, jakby wszystko, co złe, skończyło się w chwili, gdy zostały podpisane papiery adopcyjne,

- Myślałem, że nigdy nie doprowadzimy tego do końca. Do głowy mi nie przyszło, że trzeba będzie załatwić tak wiele formalności. Sądziłem, że adopcję przeprowadza się szybko. Dlatego postanowiłem tym razem powiększyć rodzinę stosując tradycyjną metodę... - Pogładził ją po brzuchu i pocałował w policzek. - Ten niewielki jegomość...

- Zaraz, zaraz! Lekarz dopiero wczoraj potwierdził, że jestem w ciąży. Nie wiemy jeszcze, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

- To musi być chłopiec. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Inaczej ród męski w tym domu znajdzie się w całkowitej mniejszości. Jedyne mężczyzna i cała masa bab!

- Nic podobnego. - Katherine usiłowała zachować powagę. - Hopek jest także mężczyzną.

Scott przytulił ją. Oboje spojrzeli na Jenny i szczeniaka szalejących w ogrodzie.

- Co to za imię dla psa? Gdy dorośnie, inne psy będą się z niego śmiały.

- Wiesz, że Jenny tylko tak chciała go nazwać, od chwili gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

Scott westchnął i powtórzył słowa Katherine:

- Hopek jest mężczyzną ale to niezupełnie to samo, kochanie. To niezupełnie to sama